

W numerze: KAROL BADZIAK **Wróg powiatowy numer 1** • ANDRZEJ MAKOWIECKI **Gorący dzień w El Asnam** • FELIKS BABOL **Interes własny czy społeczny** • Felietony • **Wiersze radzieckie** • Recenzje • **Zawszgd o wszystkim** • **Nowela kryminalna**

odgłosy



45 (729)

7. XI. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



WÓLGOGRAD

DR MARIAN WILK

Słowa, które potwierdziła historia

W bogatej literaturze poświęconej życiu i działalności Włodzimierza Lenina, sporo miejsca zajmuje prezentacja jego stanowiska wobec rosyjskiej burżuazji w okresie poprzedzającym wybuch Rewolucji Październikowej. Lenin orientował się doskonale w jej składzie, profilu politycznym, ugrupowaniach partyjnych itp. Dostrzegał też niebezpieczeństwo grożące rosyjskiemu proletariatu ze strony zwłaszcza liberalnej burżuazji, która różnymi sposobami starała się pozyskać robotników.

Równocześnie stosunkowo mała jest znajomość zagadnienia o odwrotnym ujęciu: Lenin w ocenie rosyjskiej burżuazji. Tymczasem jest to problem bardzo ciekawy. Zwłaszcza od momentu powrotu Lenina do Rosji w kwietniu 1917 r. osoba przywódcy bolszewików była przedmiotem żywego, można powiedzieć, szczególnego zainteresowania ze strony kręgów burżuazyjnych.

Jest to, oczywiście, zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że w Rosji sprawował wówczas władzę burżuazyjny Rząd Tymczasowy, do obalenia którego wzywał Lenin. Równocześnie jednak wiadomo, że skład tego rządu ulegał kilkakrotnym zmianom, w wyniku których teki ministrów otrzymali także mienieścwy i eserowcy. Na tym tle dochodziło do wielu krytycznych wystąpień pewnych grup burżuazji wobec rządu.

Aby zrozumieć te zjawiska trzeba przypomnieć, że rosyjska burżuazja nie była w okresie wojny jednolita pod względem politycznym. Istniały trzy główne partie burżuazyjne: październikowcy, progresiści i kadeeci. Dwie ostatnie określa się mianem partii liberalnych.

Chcę zwrócić uwagę na stanowisko tych ostatnich wobec Lenina, wyrażone na łamach ich głównych organów prasowych.

Dalszy ciąg na str. 4

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Ranga zawodu nauczyciela

„Naturalnym prawem młodego pokolenia jest oczekiwanie lepszych od swych poprzedników warunków i szans życiowych, jego obowiązkiem jest — aktywny, twórczy udział w socjalistycznym rozwoju kraju, współodpowiedzialność za losy Ojczyzny i za przyszłość narodu, szacunek dla walki, dorobku i doświadczeń starszego pokolenia”. Zdanie to, wypowiedziane w ostatnim przedzjazdowym dokumencie partyjnym, brzmiał surowo, poważnie i stylem przypomina Konstytucję. Budził szacunek; mówił o prawach i obowiązkach. Podobnie jak w całości „Wytycznych” — w części poświęconej kształceniu i wychowywaniu młodzieży — mowa, jest o tym, co trzeba uczynić, aby Polska stała się „cenionym partnerem innych narodów i chluba dla własnych obywateli”. Wierzę w język — produkt myśli, choć, jak sądzę — także serca. Rozum i serce odczytują nauczyciele w tym dokumencie, który nie pretenduje do racji skończonych. Jest tylko alternatywą; propozycją i

zachętą do równie rzeczowej dyskusji. W tym duchu i w takim rozumieniu „Wytyczne” dają zakres powinności szkoły i nauczycieli, ale i obowiązków władz państwowych i oświatowych, które zapewnią warunki realizacji owych „powinności”. Ośmiela mnie to do twierdzenia, i sądzę, że nie wpadnę w przesadę, iż jest to propozycja bez precedensu w powojennych dziejach socjalistycznej oświaty.

Partia ze swej strony obiecuje, że „będzie troszczyć się o wzrost społecznej rangi zawodu nauczyciela, wykazując ciągłą troskę o poziom ideowy oraz warunki życia i pracy środowiska nauczycielskiego”.

Problem zatem postawiony został na płaszczyźnie wzajemnych zobowiązań, zrozumienia i wiary w obopólne możliwości i dobrą wolę dotrzymania owych zobowiązań.

Wytyczne KC PZPR na VI Zjazd partii wypowiadają się o oświacie językiem klarownym, szczerym i w duchu dialogu z na-

rodem; w stylu zapoczątkowanym na VII i VIII Plenum. Dlatego zachęcam społeczność nauczycielską do współuczestnictwa w równie konstruktywnym poszukiwaniu dróg naprawy i doskonalenia całego systemu oświatowego, który — jak w innym miejscu czytamy w cytowanym dokumencie — „stanowi podstawę rozwoju nauki i techniki (...) kształtuje świadomość narodu”.

Nauczyciele zresztą dobrze wiedzą, że mają prawo do widzenia perspektywy, sensu swojej pracy, systematycznej poprawy doli człowieczej, sprawiedliwej oceny i jeszcze raz oceny przez szeroko pojętą opinię społeczną. Nie bowiem tak nie krzywdzi, jak stosowana do niedawna praktyka dowolnego „rządzenia” ludźmi wedle schematów, nie mających często zgody nie wspólnego z ich interesem społecznym i osobistym. Ludziom oświaty i nauki danowielekodusznie szanse medytacji nad ich świadomością, która jest po-

Dalszy ciąg na str. 8



Posępne wnioski byłego superjastrzębia

„NEW YORK TIMES MAGAZINE” — NOWY JORK

Trzy wydarzenia ostatniego okresu zasługują na szczególną uwagę czytelników: francuska wizyta Leona Brezniewa, o której znaczeniu pisaliśmy w ub. tygodniu, jej klimat i finalne uzgodnienia przeszły jednak oczekiwania komentatorów, a następnie: przyjęcie Chińskiej Republiki Ludowej do ONZ oraz decyzja Izby Gmin o przystąpieniu W. Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Tym dwóm ostatnim chcielibyśmy poświęcić dzisiejszy komentarz.

Przypomnijmy najpierw przebieg głosowania nad rezolucjami w sprawie Chin Ludowych. Jako pierwsza głosowana była rezolucja amerykańska, traktująca przyjęcie ChRL do ONZ jako wydarzenie „ważne”, wymagające kwalifikowanej większości. Miała ona charakter proceduralny, ale wywarła zasadnicze znaczenie psychologiczne i zdecydowała o postawie wielu krajów w dalszym głosowaniu. Rezolucja ta nie uzyskiwała większości. O jej upadku zdecydowało w końcu 8 państw, które powstrzymały się od wypowiedzenia swej opinii (m. in. Belgia, Cypr, Tunezja). W kolejności poddano głosowaniu rezolucję, domagającą się równoczesnego przyznania miejsca ChRL w Organizacji i usunięcia z niej przedstawicieli Tajwanu. Ta przyjęta została 76 głosami, przeciwko 35, przy 17 wstrzymujących się. Wśród państw wspierających projekt rezolucji znalazły się oczywiście wszystkie kraje socjalistyczne, Francja, W. Brytania i Kanada oraz liczne kraje Azji i Afryki. Przeciwno głosowały delegacje Stanów Zjednoczonych, Australii, Brazylii, Japonii, kilku krajów afrykańskich i południowoamerykańskich. Wstrzymały się od głosu m. in.: Argentyna, Cypr, Grecja, Hiszpania, Indonezja...

Gdyby podobny układ zarysował się po przyjęciu rezolucji amerykańskiej — Chiny Ludowe i tak zostałyby członkiem ONZ, gdyż 76 głosów „za” stanowiłoby kwalifikowaną większość — 2/3 głosów Zgromadzenia Ogólnego. Ale, jak powiedzieliśmy już wcześniej, część krajów wahała się i dopiero porażka USA zdecydowała o ich postawie.

Jakie czynniki spowodowały tak poważną ewolucję w Zgromadzeniu Ogólnym, które przecież przez wiele lat odmawiało Chinom Ludowym należnego im miejsca w ONZ?

Przede wszystkim konsekwentne działanie na rzecz przyjęcia ChRL ze strony krajów socjalistycznych, które wykazywały absurdalność sytuacji oraz zdecydowanie opowiadały się za uniwersalizmem ONZ. Ale też dokonująca się erozja wpływów Stanów Zjednoczonych wśród swoich sojuszników oraz zmiana stanowiska Waszyngtonu, który od postawy krańcowej wrogości wobec ChRL przechodzi do polityki „jakiegos ułożenia stosunków”.

Niekiedy na łamach prasy zachodniej upowszechnia się opinie jakoby Stany Zjednoczone chciały... „zachować twarz” wobec swojego sojusznika — Czang K'ai-szeka. Nie odpowiada to prawdzie. Jeszcze w br. Waszyngton nie był gotów do tej wielkiej zmiany i chciał storpować przyjęcie Chin Ludowych i usunięcie przedstawicieli Tajwanu. Owszem, wsparłby Chiny, ale gdyby jednocześnie mógł pozostać Tajwan. Wynik głosowania jest więc oczywistą porażką Stanów Zjednoczonych. Ich przedstawiciel w ONZ — Bush jeszcze 25 października podkreślał przecież, że chodzi tu o dwa suwerenne kraje, z których jeden ma być przyjęty, ale drugi usunięty. Ostanął się on prawem międzynarodowym, aby do takiej zmiany w ONZ nie dopuścić.

Decyzje Zgromadzenia Ogólnego będą miały poważne następstwa dla ONZ. Po raz pierwszy od 1945 roku w Radzie Bezpieczeństwa spotkają się przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw, co otwiera szansę współdziałania. Czy zostanie ona wykorzystana? Nad tym pytaniem zastanawiają się obecnie wszyscy komentatorzy, oczekując zapowiedzianego przyjazdu do Nowego Jorku delegacji ChRL. Obserwowana od pewnego czasu polityka Pekinu, zmierzająca do wyjścia z izolacji, w jaką wpędziła ten kraj rewolucja kulturalna, daje pewne podstawy do nadziei. Jednocześnie fakt przyjęcia ChRL rodzi wiele nowych problemów, wpływa z pewnością na ukształtowanie się nowych podziałów w tej organizacji. Oczekuje się, że jeszcze w bieżącym roku miernikiem wytworzonej sytuacji będzie konsultowanie kandydatury, a następnie wybór nowego sekretarza generalnego ONZ.

Ogólnie można jednak stwierdzić, że decyzja Zgromadzenia Ogólnego ma wagę wydarzenia historycznego, które przyczyni się do umocnienia ONZ i odprężenia ogólnej atmosfery światowej.

★

Nie nadużywając słowa: historyczna — przymiotnikiem tym można określić i inną decyzję z ostatnich dni — Izby Gmin o przystąpieniu W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Konserwatywny rząd zapewnił sobie dla tego wniosku większość 350 głosów (wobec 244 przeciw). Fakt ten nie zamyka jednak kronik zmian W. Brytanii o udział w EWG. Odnoszą one nie tylko „nie” de Gaulle'a, a następnie ewoluowanie stanowiska Francji Pomyślów w kierunku pogodzenia się z taką ewentualnością oraz październikową decyzję parlamentu brytyjskiego. Będą one śledzić także dalszy bieg wydarzeń, gdyż — wbrew pozorom — karta wcale nie została zamknięta. Londyn decyzjami parlamentu musi teraz dostosować ogromną ilość swych przepisów do obowiązujących w EWG, a bieglej w matematyce głosowania przewidują, że przy każdej takiej okazji większość w Izbie Gmin będzie stale topniała. Nie wyklucza się nawet sprowadzenie jej do zera, co musiałoby się zakończyć rozpisanie nowych wyborów. Na to podobno liczy Partia Pracy. Przyjdzie nam więc powracać do tematu nie jeden raz.

W. SŁAWSKI

Był minister obrony, Clark Clifford, którego metamorfoza z „jastrzębia” w „gołębia” w 1968 roku zbiegła się z pewnymi zmianami w amerykańskiej polityce w Vietnamie, wyraża dziś przekonanie, że wietnamska strategia prezydenta Nixona prowadzi do wojennej katastrofy w południowo-wschodniej Azji i do kryzysu politycznego w samych Stanach Zjednoczonych. Clifford jest o tym tak dalece przekonany, że ze swego biura adwokackiego w Waszyngtonie „ogłasza alarm”. W wywiadach, 64-letni, był doradcą kilku prezydentów, wyraża pogląd, że Nixon zobowiązał się do utrzymania proamerykańskiego reżimu w południowym Vietnamie, że jego żądania są nie do przyjęcia dla komunistów, i że — w konsekwencji — siły zbrojne USA w południowym Vietnamie pozostaną na czas nieograniczony.

Clifford uważa, że komunisty nie będą pasywnie patrzeć na „pozostawione” wojska USA i tej zimy mogą przedsięwziąć wielkie uderzenia militarne. Obawia się także, iż w odpowiedzi na poważne straty, Nixon znów rozszerzy interwencję Stanów Zjednoczonych, do użycia broni jądrowej, włącznie. Wznowienie eskalacji działań wojennych doprowadzi do burzliwych demonstracji społeczeństwa amerykańskiego przeciwko rządowi i wywoła kryzys polityczny, który może „rozdzierć kraj na części”.

Na koniec, Clifford bez optymizmu ocenia supozycję, jakoby podróż prezydenta USA do Pekinu mogła doprowadzić do pokoju w Vietnamie. Przeciwnie, obawia się, że podróż ta potrzebna jest prezydentowi jako pretekst, aby pozostawić bez echa 7-punktową propozycję pokojową, przedłożoną 1 lipca w Paryżu przez Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Republiki Południowego Wietnamu.

Te posępne przewidywania kontrastują z oficjalnym optymizmem, wyrażanym w związku z mającymi się odbyć rozmowami amerykańsko-chińskimi. Jednakże nad przewidywaniami Clifforda nie można przejść do porządku dziennego. Jego autorytet znawcy polityki amerykańskiej zaczyna się kształtować w 1948 roku, kiedy to pomaga Trumanowi w opracowaniu planu wyborów prezydenckich, a umacnia się ostatecznie w 1968 roku, gdy przekonuje Johnsona, iż uwarunkowania militarne i polityczne wymagają zmiany polityki wietnamskiej. Clifford przewiduje, że Nixon będzie kontynuował politykę wietnamizacji i w Vietnamie pozostanie stały kontyngent wojsk amerykańskich, ponieważ obawia się rozstrzygnięcia politycznego, które by mogło zagrozić proamerykańskiemu reżimowi w południowym Vietnamie.

„Prezydent sądzi, że milionowa armia sajońska, wspomagana przez lotnictwo USA, flotę morską i oddziały pomocnicze potrafi utrzymać przy władzy obecny rząd południowowietnamski. Doszedłem do wniosku, iż będzie on uważał wojnę za przegraną, jeśli wysiłki Ameryki nie zostaną uwięzione ugruntowaniem tam rządu antykomunistycznego. Prezydent mówi, że nie zgo-

dzi się być pierwszym amerykańskim prezydentem, który przegrał wojnę oraz nie pozwoli, aby Ameryka stała się „żałosnym, bezsilnym gigantem”. Najwidoczniej uważa on, że naród amerykański pogodzi się z myślą pozostawienia stałych sił wojskowych USA w południowym Vietnamie.

Jestem jednakże przekonany — mówi Clifford — że Nixonowi nie uda się u-rzeczywistnić jego planu. Spójrzcie na ten plan oczami Wietnamczyków: po dwudziestu pięciu latach wojny nie zgodzą się chyba z perspektywą istnienia armii sajońskiej, wspieranej przez nasze lotnictwo, okręty wojenne i oddziały zaplecza. Jest dla mnie jasne, że podejmą oni decydujące próby przekreślenia planu Nixona.

Najbardziej niepokoi mnie ewentualna reakcja prezydenta. Może on nasilić bombardowania. Może zwiększyć kontyngent wojsk. Nikt dokładnie nie wie, co zamierza zrobić. Należy przypomnieć, że występując pewnego razu w Chicago, Nixon powiedział, że we współczesnej wojnie, taktyczną bronią jądrową trzeba uważać za broń zwyczajną. Obawiam się, że jakakolwiek eskalacja będzie ciosem dla Ameryki i spowoduje jeszcze głębszy kryzys, niż ten, który wybuchł po zbrojnym napadzie na Kambodżę, kryzys, który rozdzierze kraj. Właśnie tego należałoby uniknąć. I dlatego uderzam na alarm.

Wydaje mi się, że rząd postępuje w sposób nie przewidujący, wzbudzając beztrzonkę w związku z zamierzoną wizytą prezydenta w Chinach — dodaje Clifford. — Wzbudza to w ludziach nieuzasadnione nadzieje. Dziennikarze i politycy wyrażają przypuszczenie, że Nixon i Chińczycy mogą rozwiązać problem wojny. Ale Chińczycy nie kontrolują sytuacji aż w takim stopniu, a Wietnamczycy trzymają się mocno pozycji niezależnych. Jeśliby Chiny spróbowały wywrzeć nacisk na DRW, pozbawiając ją swojej materialnej pomocy, to skompensuje ją ona zwiększeniem radzieckiego poparcia. Jeśli podróż Nixona do Chin jest jego odpowiedzią na pokojowy program Vietcongu z 1 lipca, to oznacza to prawdziwą tragedię, albowiem propozycja ta stwarza podstawy do honorowego uregulowania konfliktu. Obawiam się, że Nixon użyje swojej podróży do Chin, jako pretekstu do uchylecia się od rozwiązania tego problemu w drodze rozmów paryskich”.

W cliffordowskim „biciu na alarm” z racji polityki prowadzonej przez Nixona, mieści się, oczywiście, duża doza ironii, ponieważ w latach 60-tych Clifford sam był superjastrzębiem, który pobudził Johnsona do użycia wojska, potęg lotniczej i innych środków, aby zmusić wietnamskich komunistów do ugięcia karku. Jednakże Clifford dokonał czegoś, czego nie zrobił żaden z superjastrzębi Johnsonowskiego okresu władzy: zmienił swoje poglądy.

Kiedy w początkach 1968 roku Clifford objął stanowisko ministra obrony i bliżej poznał fakty dotyczące Wietnamu, wystarczył mu zaledwie tydzień, żeby zrozumieć prawdę: Tej wojny wygrać nie sposób. I w przeciągu trzech lat, będąc

członkiem rządu, domagał się zaprzestania wojny w Vietnamie. Obecnie, w okresie prezydentury Nixona, Clifford przekształcił się w jednego z najbardziej głośnych i upartych krytyków polityki prezydenta w konflikcie wietnamskim.

Jako krytyk jest on nader efektywny z kilku powodów. Po pierwsze, trudno go ignorować, jak, powiedzmy, ignoruje się radykałów, ponieważ jest on zamożnym adwokatem, reprezentującym potężne korporacje. Po drugie, znany jest jako były minister obrony i szerokie kręgi społeczeństwa (słusznie lub niesłusznie) nie dopatrują się w krytyce Clifforda zakulisowych interesów, jakie odnajdują w wystąpieniach przeróżnych senatorów — demokratów, ubiegających się o stanowisko prezydenta. A najbardziej słuszne i rzeczowe argumenty zawarte w wystąpieniach Clifforda rząd Nixona odrzuca z rozdrażnieniem i zgrzytliwością.

Clifford nawiązuje do swych pierwszych wątpliwości odnośnie polityki USA w Vietnamie. Latem 1967 roku prezydent Johnson wysłał go w podróż, wraz z gen. Taylorem, aby naklonił sojuszników Ameryki „znad Oceanu Spokojnego” do zwiększenia pomocy w prowadzeniu wojny. Ku jego zdumieniu, liderzy Syjamu, Południowej Korei, Australii i Nowej Zelandii bez entuzjazmu przyjęli apele o wzmocnienie obrony południowego Wietnamu.

Będąc już ministrem obrony, Clifford stał na czele komisji, rozpatrującej żądania armii o wysłanie do Wietnamu dalszych 200.000 żołnierzy. Zadając wojskowym pytaniem, nie otrzymywał jasnych odpowiedzi. Nikt nie mógł go zapewnić, że dodatkowe 200.000 żołnierzy przyniesie zwycięstwo, że nasilenie bombardowań, czy jakiejś innej kroki, przyniosą sukcesy militarne. Padły tylko nieokreślone zapewnienia, że w jakiejś mglistej przyszłości wojskowa przewaga USA wyzerpie komunistów. „I tak oto w tych nużących dniach przekonałem się — pisał później Clifford — iż forsowany przez nas wojenny kurs, nie tylko nie ma kresu, ale jest też beznadziejny”.

Po opuszczeniu Pentagonu w początkach 1969 roku, powrócił do praktyki adwokackiej, ale jego myśli nadal absorbował Wietnam. W lutym tegoż roku napisał obszerny artykuł dla pisma „Foreign Affairs”, w którym przedstawił plan wycofania wojsk amerykańskich z Wietnamu do końca 1970 roku. Prezydent Nixon zareagował z irytacją: „Mam nadzieję, że uda nam się wyprzedzić terminy ustalone przez Clifforda, właśnie dlatego, że działamy o wiele bardziej skutecznie niż Clifford, kiedy kierował naszą obroną narodową”.

Dziś, dwa lata po cytowanym wyżej dialogu, dużego znaczenia nabiera fakt, że prezydent nie spełnił jednak obietnicy wyprzedzenia terminów, proponowanych przez Clifforda. Wkrótce po wtargnięciu Amerykanów do Kambodży napisał on artykuł dla magazynu „Life”, w którym nazwał tę agresję „nierozsądną”, „ryzykowną” i określił „program wietna-

mizacji” jako „formułę wiecznej wojny”.

Jednakże najbardziej interesujący dialog z rządem Nixona miał miejsce latem tego roku. 8 czerwca Clifford wystąpił przed licznym gromem adwokatów, którzy zebraли się w Waszyngtonie, aby wnieść protest przeciwko wojnie. Korzystając z tej okazji przedstawił swój nowy, pokojowy plan, który sprowadzał się do tego, by USA wycofały swoje wojska z południowo-wschodniej Azji w bieżącym roku, jeżeli komunisty zwołają wszystkich jeńców i nie będą atakować wycofujących się oddziałów.

Propozycja Clifforda niewiele odbiegała od innych planów, wysuwanych i w Kongresie, i gdzie indziej. Jednakże stała się ona czymś całkiem nowym w światowym wymiarze, wskutek oświadczenia Clifforda, że jakoby „ma on podstawy sądzić”, iż DRW i Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Republiki Południowego Wietnamu zgodzą się na jego plan. Jeśli Clifford mówił prawdę i komunisty zgodziliby się uwolnić jeńców wojennych w zamian za ustalenie daty wycofania wojsk amerykańskich (na co — jak twierdzi rząd — oni by nie poszli), Nixon nie mógłby już szermować problemem zwolnienia jeńców wojennych, jako głównym pretekstem przedłużania wojny.

Rząd postanowił natychmiast zdyskredytować Clifforda. Rzecznik prasowy prezydenta oskarżył go o budzenie „fałszywych nadziei” i o próby nadużywania uwolnienia jeńców wojennych do „wewnętrznych rozgrywek politycznych”. Sekretarz stanu W. Rogers odrzucił propozycję Clifforda, nazywając ją „czystą propagandą”.

1 lipca Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Republiki Południowego Wietnamu przedstawił pokojową propozycję, składającą się z siedmiu punktów, która przewidywała uwolnienie jeńców wojennych z równoczesnym wycofaniem wojsk USA do końca 1971 roku. Propozycja ta różniła się od cliffordowskiej tylko w terminach uwolnienia jeńców, przy czym przedstawiciel TRR Republiki Południowego Wietnamu oświadczył, że ten punkt propozycji można przedyskutować.

Clifford obawia się, że prezydent będzie nadal ignorować pokojowe propozycje komunistów. Niepokoi go to, co w polityce Nixona nazwano „szablonem”.

„W przeciągu długiego czasu prezydent Nixon używał sprawy jeńców wojennych jako usprawiedliwienia naszej obecności w Vietnamie — mówi Clifford. — Teraz, kiedy druga strona proponuje uwolnienie jeńców, prezydent wysuwa nowe warunki”.

Kiedy 8 czerwca przedstawiłem mój plan, Biały Dom odrzucił go dlatego, że uwzględnił on tylko jeden punkt warunków Nixona — uwolnienie naszych jeńców wojennych. Drugi punkt wymagał gwarancji utrzymania proamerykańskiego rządu w Sajgonie po naszym wyjściu. Ten punkt jest absolutnie nierealistyczny. Druga strona nie zgodzi się na to, co oznacza, że pozostaniemy w południowym Wietnamie na czas nieograniczony”.

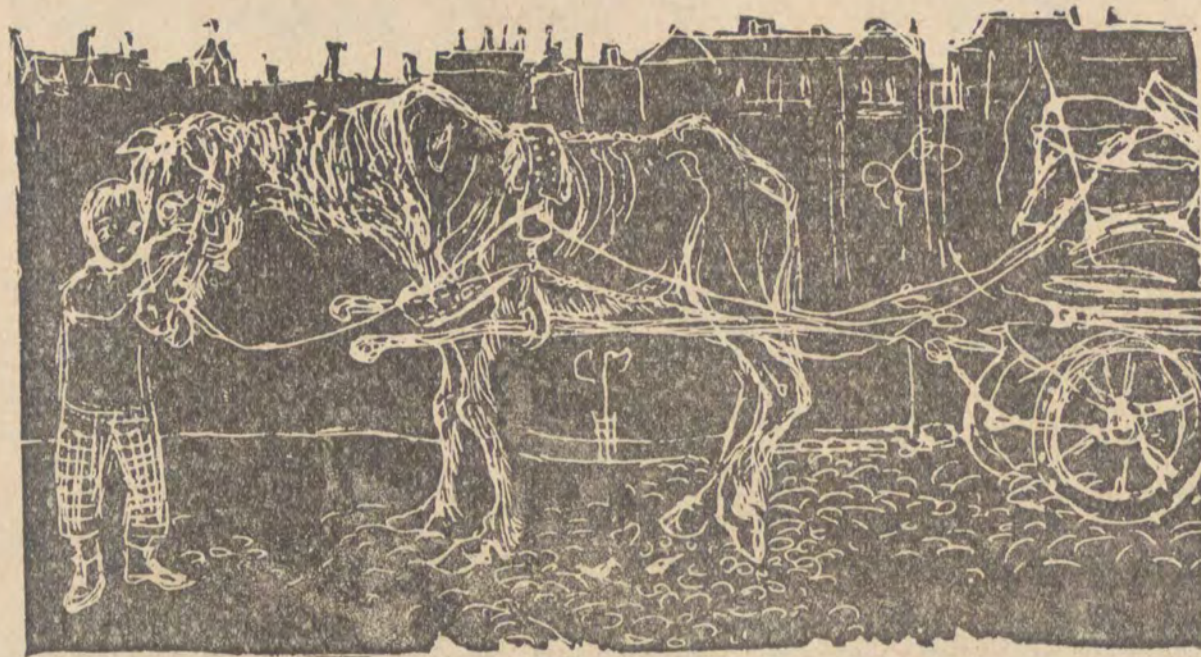
WYJAŚNIENIE

Panie Redaktorze. W numerze 43 (z dn. 24.X.1971) „Odgłosów” opublikowano pod moim nazwiskiem tekst inny, niż ten, który dostarczyłem do redakcji. Ponieważ w tej sytuacji nie mogę przystać na przypisywane mi autorstwo — proszę o wydrukowanie tych kilku słów wyjaśnienia.

Łódź, 25. X. 71 r.

ANDRZEJ BISKUPSKI

OD REDAKCJI: Bardzo ubolewamy nad tym, że Autor nie uznał za swój, tekstu, który sam napisał, a który ogłosiliśmy z pewnymi skrótami.



Ta postać wydawała mi się zbyt wyidealizowana, żeby była prawdziwa. Konflikt z koleją, zbyt typowy i jednoznaczny, za bardzo dziennikarski. Przecież życie jest bardziej złożone, sytuacje powiklane, a ludzie tylko w westernach dzielą się na czarne i jasne charaktery.

Nie, to niemożliwe, żeby młody, energiczny, pracowity, wykształcony, ba, magister inżynier zootechnik, władający świetnie dwoma językami i w dodatku autentyczny działacz społeczny, który w ciągu trzech lat swego pobytu na wsi Topola Królewska, powołał do życia martwe koło ZMW, zajął się sportem w LZS, zorganizował teatr, skupił wokół siebie młodzież, wśród której w stosunkowo krótkim czasie zdobył nieklamany autorytet i poważanie — został ni stąd ni zowąd zwolniony z pracy i nie mógł znaleźć przez okrągłe trzy miesiące zatrudnienia w całym powiecie. Chodzi tu o powiat łęczycki, ale to nie jest chyba takie ważne, gdyż i w tym powiecie odczuwa się brak ludzi z wyższym wykształceniem rolniczym. Ponieważ nie ma ideału bez skazy, więc może to jakiś pijak, kobieciarz, utajony narkoman? Otóż nie, wódki do ust nie bierze, nawet papierosów nie pali, zdrowy, normalny człowiek, żonaty. Z pracy zwolniono go akurat w momencie, gdy żona była w ósmym miesiącu ciąży.

Dla spokoju sumienia pojechałem jednak do tej Topoli Królewskiej, gdzie potencjalny bohater mego reportażu pracował dotychczas w Zakładzie Doświadczalnym UNG, jako zootechnik, inseminator i równocześnie świetlicowy. Jechałem — przynajmniej w szczerze — bez większego entuzjazmu, gdyż nie wierzę w takie proste historie, nie lubię czytankowych bohaterów, a w ogóle takich ludzi jak Mieczysław Rykała, wcale nie ma. To po prostu wytwór fantazji egzaltowanych pańienek z miejscowego GS.

Ażby zasięgnąć języka udałem się na wstępie do sklepu bławatnego GS w tejże Topoli Królewskiej. Oczywiście trwał remanent. Trzy młode pańienki pod dobrótliwym nadzorem kierownika sklepu czytały zawzięcie artykuł w „Zarzewiu” pt. „Skazany na wygnanie”. To o nim właśnie. Reporter „Zarzewia” trafił tu wcześniej, więc nie tu po mnie — pomyślałem sobie i zabrałem się do wyjścia. Ale w drzwiach stał już sam prezes, Operatywny. Przeczytaliśmy wspólnie ów artykuł, notabene plóra mego uniwersyteckiego kolegi, Henryka Maziejuka. Solidny to człowiek, chłopski syn, pochodzi z biednej wioski w powiecie Biała Podlaska. Pamiętam, że na pierwszym roku studiów koleżdy kpili sobie z niego, że pierwszy raz jechał pociągiem właśnie na uniwersytet do Warszawy, a jako wyprawę z domu ojciec kupił mu na drogę litr atramentu z ostrzeżeniem, że ma to mu wystarczyć na całe cztery lata. Na czwartym roku już nikt z Henka nie kpili, zdobył sobie bowiem swą koleżeńską postawą miar, szacunek i przyjaźń na wydziale, a pod względem nauki niedojędnego z warszawiaków zdystansował. Dziś jest zastępcą redaktora

ra naczelnego „Zarzewia”. Jego artykuł bardzo przypadł do gustu pańienkom z bławatnego sklepu GS. A zaczyna się mniej więcej w ten sposób:

„Gdy tak chodzę od biura do biura, od człowieka do człowieka, by się dowiedzieć, co właściwie zdecydowało, że został zwolniony (oczywiście mowa tu o Mieczysławie R. — dop. K. B.) z pracy i nie może dostać innej, spotykam się z obojętnością i nie otrzymuję wyczerpujących wyjaśnień. Zdawkowe, suche ogólniki. Albo wykreślenie tłumaczenia”.

I dalej:

„Jadę do sekretarza gromadzkiego partii, licząc, że tu się czegoś dowiem. Sekretarzem jest rolnik.

— My go u siebie nie chcemy. Nie daliśmy mu etatu zootechnika, a teraz nie mamy agronoma. Niech sobie pójdzie na inny teren.

— A co on takiego zrobił?

— On, towarzyszu, skupił wokół siebie młodzież. I ona go słucha. Przedtem trudno ją było zebrać, a teraz, proszę, wieczorki z nią organizuje, teatr przedstawia, sportem się zajmuje, zebrania robi”.

W dalszej części reportażu zawarte są opinie młodzieży o naszym bohaterze, oczywiście opinie pełne uznania, rzekłbym nawet, uwielbienia.

„Pierwszy stawał do roboty. Z nami porządkował we wsi chodniki, robił boisko, chodził pomagać starszkom podczas żniw, bawił się z nami... Tak się podobały jego wykłady o rolnictwie, że młodzież zapraszała go na dodatkowe spotkania. Nigdy nas nie zawiodł. Gdy nie kursował autobus, to jechał do nas dziesięć kilometrów rowerem. Zainteresował się działką szkolną. Powiedział, że dostarczy nam sadzonek rzadkich roślin. I dotrzymał słowa. Nie pijak, nie lachudra żaden, dobry i uczynny, a mimo to ma swoich wrogów”.

Reportaż kończy się słowami:

„Zmowa milczenia sięga także do Łęczycy. I tutaj półśłówka i ogólniki. Nie ma odważnych. W toku kilku rozmów właściwie niczego nie wyjaśniliem”.

Postanowiłem więc zacząć mój reportaż od tego miejsca, w którym skończył mój kolega. Najpierw zaatakowałem prezesa GS, żeby mi powiedział o co tu poszło. Prezes jako stary i doświadczony trener pływakki wywinął się cwałem, stwierdzając, że, owszem, magister Rykała faktycznie rozruszał tutejszą młodzież i aktywnie udzielał się społecznie, a co do zwolnienia z pracy, to nie jego, prezesa, podwórko i sam powinienem rozumieć, że on powie, ja napiszę, on zostanie — ja wyjadę.

bym nie ręczył. Streścić ją można w dwóch zdaniach. Dyrektor ma prawo przeprowadzać reorganizację i w jej ramach zmniejszać ilość zbędnych etatów. Funkcję zootechnika pełni obecnie starszy oborowy, który awansował na brygadzystę. A więc można i tak rozumieć odnowę na wsi.

Rozmowa z przewodniczącym rady zakładowej również była krótka, niemniej owocna. Przewodniczący potwierdził, że magister inżynier Rykała został zwolniony w ramach reorganizacji, a w takich sytuacjach rola rady jest bardzo nikła. Na posiedzeniu rady omawiającej tę kwestię obecny był również dyrektor zakładu, co oczywiście jest niezgodne ze statutem związkowym, lecz dyrektor zapewnił, że w trakcie głosowania nad wnioskami opuści posiedzenie.

— Czy opuścił?

— O ile pamiętam, był obecny w trakcie głosowania. — odparł przewodniczący rady.

O ile ja pamiętam, zootechnik zwrócił się o pomoc w tej sprawie do Zarządu Okręgowego Związku Zaw. Pracowników Rolnych w Łodzi. Chodziło mu o

KAROL BADZIAK

Wróg powiatowy numer 1

przedłużenie terminu odejścia, gdyż właśnie żona urodziła dziecko i w tej sytuacji dość niewygodnie było mu szukać nowej pracy i przeprowadzić się do innego powiatu. Związek nie wysilił się chyba zbyt w jego sprawie, czego dowodem jest odpowiedź, jakiej udzielił zainteresowanemu:

„...przeprowadzona rozmowa w dniu 26. IV. 1971 r. z dyrektorem Zakładu Doświadczalnego nie dała pozytywnych rezultatów. W takiej sytuacji istniała tylko jedna szansa złożenia sprzeciwu przez radę zakładową. W wyniku rozmowy uwzględniono, że złoży towarzysz odwołanie do rady zakładowej, a z przewodniczącym rady zakładowej omówiono sposób dalszego zatwierdzenia. Towarzysz jednak odwołania do rady zakładowej nie złożył, dlatego też nie podjęła ona dalszej interwencji. Zarząd Okręgowy nie był w stanie wycofać wypowiedzenia z pracy, gdyż było udzielone w ustawowym terminie, a argumentacja Dyrekcji o likwidacji etatu była dość zasadna”.

Tak się składa, że jestem przypadkiem w posiadaniu odpisu odwołania, jakie złożył mgr inż. M. Rykała do rady zakładowej i jeśli ten drobiazgi kogoś zainteresuje, chętnie go udośćnię.

Kolejnym moim rozmówcą tego dnia był kierownik Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Prezydium PRN w Łęczycy.

— Czy to rzeczywiście prawda,

że nie chciał pan zatrudnić na terenie powiatu łęczyckiego zootechnika M. Rykały? — zadałem pytanie kierownikowi.

— Zatrudnić to chciałem, nawet u siebie w wydziale miałem planowany etat referenta w dziale planowania. W związku z przejściem na rentę pracownika z referatu produkcji zwierzęcej miałem zamiar na jego miejsce ulokować tam później zootechnika. Byłoby to bardziej zgodne z jego kwalifikacjami. Ale przewodniczący prezydium się nie zgodził. Polecił mi nie przyjmować Rykały nie tylko do pracy w wydziale, ale w ogóle w całym powiecie. Było to polecenie wydane ustnie.

Podziękowałem kierownikowi za chwilę szczerości i udałem się do sekretarza rolnego KP. Jadwigi Galaman: „Byłam przez dłuższy czas na urlopie chorobowym, a gdy wróciłam do pracy, zgłosił się do mnie Rykała i zaproponowałam mu pracę w spółdzielni produkcyjnej w Gaju. Oświadczył, że się zastanowi. Za parę dni przyszedł i powiedział, że rezygnuje z tej pracy. Więcej się nie pokazał”.

Nie pozostało mi już teraz nic innego, jak pójść do głównego bohatera. Widocznie nie okazał się aż tak goźny, jeśli w powiecie pozostał i nawet otrzymał pracę w Szkole Przystosowania Rolniczego w Gaju oraz pół etatu w Powiatowym Zarządzie ZMW. Anatomia trwała krótko, a władze powiatowe stały się po pewnym czasie wielkoduszne. Sprawa kończy się happy endem i właściwie nie ma powodu do rozpacz. Ani do radości.

Młody człowiek chętnie godzi się na rozmowę. Wyjmuje swój dyplom ukończenia Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Rzeczywiście nie ma się czego wstydzić, studia skończył chlubnie i został wpisany do Księgi Wyróżnionych Studentów, jako, że średnią ocen przez wszystkie lata nauki miał 4,87. Na swoim wydziale był trzecim studentem w historii uczelni, który otrzymał tak zaszczytne wyróżnienie. Demonstruje również lornetkę, którą otrzymał od ministra obrony narodowej za dzielną służbę na studium wojskowym. Pokazuje również szereg dyplomów za pracę społeczną. ZSP w nagrodę zafundowało mu wycieczkę do Austrii, Włoch, Jugosławii. W ubiegłym roku był delegatem na IV Zjazd ZMW.

o tym dyrektorowi. Innym razem odkryłem przypadkowo, że starszy oborowy zamiast mleka wynosi w bańce śmietanę. Zaczęli obaj patrzeć na mnie jak na wilka. Narazilem się też księgowemu, który chciał mi udowodnić, że się źle prowadzi i uwodzę tutejsze dziewczęta. Brał je nawet na przestuchanie, ale nic z tego nie wyszło, bo wyjść nie mogło. Chęć zauważyć, że jest to chyba jedyny księgowy w Polsce, który przyjeżdża do pracy ciągnikiem z przyczepą. Ludzie we wsi mogą coś na ten temat powiedzieć. Konflikt z nim zaczął się od tego, że bez większej radości, a właściwie to nawet niechętnie robiłem obroczniki. Zresztą praca ta do mnie nie należała. Pan nie wie, co to są obroczniki? To raporty zużycia pasz i nadają się tylko do archiwum. Zostało to już dawno zaniechane, i chyba tylko ja jeden w województwie je wypełniałem.

W sumie więc zaczęto mi powołać, lecz skutecznie, udowodnić, że jestem w zakładzie niepotrzebny. Może dlatego, że brałem udział w komisji, która zajmowała się sprawą odszkodowań, jakie nasz zakład musiał wypłacić rolnikom w powiecie poddębickim. Sprzedano im rzepak siewny, pochodzący z naszego przedsiębiorstwa. Rzepak ten nie wszedł. Dlaczego tak się stało, nie chciałbym sam odpowiadać, gdyż może jestem zbyt subiektywny. Niech się pan uda do Władysława Kałużnego, który tu kiedyś pracował. Przeniósł się stąd do pracy w Łękach Kościelnych.

A na pożegnanie powiem panu, że jak człowiek jest niewygodny i uwiiera swoich przełożonych, a nie można mu nie zarzucić od strony zawodowej i moralnej, to się go podchodzi politycznie. Jest to metoda niezawodna, przynajmniej była dotychczas. Tu się rzuci słówko, tam pół słówka i gość ugotowany. Bo w tych delikatnych sprawach nie trzeba było do tej pory przeprowadzać do wodu prawdy. Wystarczyła zwykła insynuacja i parę donosów.

Władysława Kałużnego zastałem w oborze przy wieczornym udoju. Wtulił ręce w fartuch i powiedział:

— Znajdowało się w zakładzie 20 ton rzepaku, który, mówiąc szczerze, niedbałe był zmagazynowany i stęchl. Olej z niego jeszcze by się dało wycisnąć, ale do siewu się absolutnie nie nadawał. Dyrektor o tym dobrze wiedział, postanowił jednak upłynić ten rzepak jako siewny, gdyż wtedy placą za kwintal nie 800 a 1200 złotych. Kiedy więc miał przyjechać urzędowy próbobiorca, polecił mi wybrać i przygotować dwie próbki do badania na siłę kiełkowania. Próbobiorcy do magazynu nie wpuszcili, twierdząc, że nie ma kluczy. Dyrektor każe — sługa musi, wysypałem rzepak na białe prześcieradło i wybrałem co lepsze ziarno, jak nie przymierzając ów Kopciuszek. Numer przeszedł, próbobiorca zakwalifikował ziarno do siewu. Dostarczono mi wówczas 30 litrów oleju jadalnego i dolałem to wszystko do rzepaku, żeby ziarno zlapało błysk. Pomagał mi przy tej robocie tylko więzień z Łęczycy, niejaki S. S. Sfałszowany w ten sposób rzepak nie miał w ogóle szansy wejść. I tak się też stało. Panie, ja jestem ciemny człowiek i robiłem, co mi kazano, ale żeby światły dyrektor taki numer odstawił, to mi się w głowie nie chciało pomieścić. Przecież w ten sposób ponad 1000 ha ziemi skazał na ugorowanie.

— Dlaczego dopiero teraz pan o tym mówi?

— Dawniej trzymałem język za zębami, teraz przestałem się bać, bo już tam nie pracuję. Zresztą kto by mi wtedy uwierzył. Zakład Doświadczalny w Topoli-Błonie był przez wiele lat produkującą jednostką, otrzymywał proporcje, nagrody, wyróżnienia, zaszczyty. Czy miałem z motyką na słońce się drapać, żeby mnie do reszty wykończyli? A może miałem bić się z księgowym, gdy lałował na swój ciągnik 37 kg nasion trawy? Albo, gdy zagarnął 17 kwintali siana z lucerny? Zresztą po co ja tu o tym wszystkim mówię. I tak pan nie napisze, a jak pan napisze, to i tak nie wydrukują.

Podziękowałem oborowemu za rozmowę i udałem się ponownie do Mieczysława Rykały, żeby go zaprosił na drugi sejmik Sitażek i Judyków Ziemi Łódzkiej, w którym wezmą udział najlepsi społecznicy naszego województwa. Sejmik odbędzie się w dniach 14 i 15 listopada na zamku w Uniejowie. Nasza redakcja jest współorganizatorem tej imprezy.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Od kwietnia do października 1917 r. można obserwować charakterystyczną ewolucję tonu prasy burżuazyjnej piszącej o Leninie. Widać bardzo wyraźnie, jak z niegroźnego początkowo przywódcy partii bolszewickiej, staje się Lenin postaciami burżuazji.

Pierwsza seria artykułów poświęconych Leninowi ukazała się wraz z momentem jego przyjazdu do Rosji. 4. IV. „Russkoje Słowo” pisało:

„3-go kwietnia o godz. 11.30 wieczorem przyjechał z zagranicy przywódca partii bolszewickiej — W. Lenin (Iljicz). Powitanie było szczególnie uroczyste. Na Dworcu Finskim w Piotrogradzie zebrał się robotnicy fabryk ze strony Wyborgskiej i Piotrogradzkiej, liczni delegaci z innych fabryk stolicy i przedstawiciele wojska. Było dużo ludzi także i na przylegających do dworca ulicach. Na peronie przy wejściu do sal recepcyjnych dworca zebrał się delegaci Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, z Komitetu Partii Socjaldemokratycznej, a także z partii eserów i innych grup socjalistycznych. Lenin został przeniesiony na rękach do sal recepcyjnych, gdzie w odpowiedzi na powitanie wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że proletariatusyjski musi wypełnić stojące przed nim ważne zadanie historyczne”.

Następnego dnia kadecka „Riecz” zamieściła sprawozdanie z przebiegu konferencji SDPPR (4. IV.) podając wyjątkowo treść około dwugodzinnego przemówienia Lenina. Zwraca się uwagę na ten fragment wypowiedzi Lenina, w której podał ostrej krytyce działalność Rządu Tymczasowego oraz Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W świetle tej informacji, szczególnie mocno popierała wówczas stanowisko Lenina znana działaczka bolszewicka, Aleksandra Kollajaj.

W kwietniu 1917 r. popularna moskiewska gazeta wydawana przez wielkiego przemysłowca, progresistę Pawła Riabuszyńskiego — „Utro Rossii” opublikowała dwa bardzo ciekawe artykuły o Leninie. Pierwszy (z 7. IV.) nosił tytuł „Wódz podziemia”. Autor — Surmin, podaje najpierw krótką biografię Lenina, próbując także określić jego poglądy polityczne. Surmin podawał np., że fakt usunięcia Lenina z uniwersytetu Kazańskiego wiązał się z faktem, że carat jak gdyby instynktownie wyczuł, iż młody Włodzimierz Uljanow będzie w przyszłości wrogiem nr 1 samowładztwa.

Surmin podając nawet wiele prawdziwych szczegółów z życia Lenina, stara się udowodnić wbrew oczywistym faktom, że stanowisko Lenina w kwestii rewolucji jest utopijne. Polityczne idee Lenina, zdaniem Surmina, przesiąknięte są dogmatyzmem, w tym sensie, że Lenin głosi hasło bezwarunkowej walki z klasami rządzącymi, nawet gdyby te ostatnie szły na pewne ustępstwa. Także stanowisko bolszewików wobec Dumy było według Surmina niesłuszne. Surmin uznaje za słuszniejsze stanowisko mieniszewików. Piszono:

„W tym czasie, gdy mieniszewicy dążyli do tego, by wykorzystać wszystkie legalne możliwości i radzili robotnikom wstępować do związków zawodowych, organizować kluby samokształcenia, Lenin ze swoją frakcją schodził do podziemia: w imię czystości ruchu rewolucyjnego chciał być nieugiętym do końca”.

Tak samo, zdaniem Surmina rok 1917 nie przyniesie rezultatów oczekiwanych przez Lenina, ponieważ: „I obecnie Lenin jest jak zwykły uparty w swojej taktyce. Wysunął hasło klęski Rosji w wojnie, jako rewolucyjnej konieczności. On jest skrajnym zwolennikiem hasła „precz z wojną”. Symbolicznie wrócił przez Niemcy, ponieważ tak powinien zrobić bolszewik-sekciarz, bezwzględny zwolennik

nik hasła „proletariatusyjskich krajów łączyć się”.

Artykuł kończy się stwierdzeniem, że sytuacja wewnętrzna w Rosji nie sprzyja szerzeniu się hasła bolszewickich.

Tymczasem rozwój wypadków wskazywał na proces zupełnie odwrotny. Wystąpienia Lenina w Piotrogradzie powodowały, że każdy dzień przynosił rozszerzenie się wpływu partii bolszewickiej. Już 15 kwietnia ta sama gazeta zamieściła także wymowny artykuł pt. „Lenin. Leninowska epopeja”. Stały komentator polityczny „Utra Rossii” — Zagorski sygnalizował fakt ogromnego wzrostu popularności Lenina. Pisał, że z nieukrywaniem strachem zaczęli o nim mówić członkowie Rządu Tymczasowego. Sam autor cytuje fragmenty przemówienia Lenina, wygłoszonego przez niego do żołnierzy zgromadzonych przed pałacem Krzesińskiej (siedziba KC partii bolszewików), akcentując konieczność przejęcia władzy w ręce rad delegatów robotniczych, żołnierskich i chłopskich.

Niebezpieczeństwo „epopei leninowskiej” polega zdaniem Zagorskiego na tym, że Lenin działa jak magnes, że przyciąga tysiące robotników, co w konsekwencji doprowadzi do tego, że całe masy przędą na jego stronę.

Autor z nieukrywaniem niepokoju stwierdza: „Nie należy mieć iluzji co do tego, że naszej (tj. burżuazyjnej — M. W.) wolności nie grozi od wewnątrz. Odwrotnie — grozi bardzo wiele.

Słowa, które potwierdziła historia

Masy rozumieją wypowiedzi Lenina jako wezwanie do natychmiastowego wprowadzenia socjalizmu, do zmiany administracji i zarządzania fabrykami”.

Zagorski sugeruje więc rządowi, że należy pozwolić początkowo Leninowi na prowadzenie agitacji. To spowoduje, że bolszewicy ujawnią się całkowicie. Odkryją swoje karty. Potem będzie szansa zaatakowania bolszewików i zlikwidowania tego „placu anarchii”, gdzie każdego dnia zbierały się coraz większe grupy robotników i żołnierzy, pragnących słuchać wystąpień Iljicza.

Prasa burżuazyjna zmuszona jest więc już w kwietniu przyznać, że idee Lenina zataczają coraz szersze kręgi.

Dostrzega się niebezpieczeństwo grożące burżuazji ze strony bolszewików aktywowanych i kierowanych przez Lenina. Dalszym dowodem były demonstracje 1-majowe. W Moskwie np. bolszewicy, jak pisało „Utro Rossii” — „Z międzynarodką na ustach odbył pochód po Placu Czerwonym, zorganizowali mityng przy budynku dumy miejskiej i po czym wysłano Leninowi pozdrowienia”.

W liberalnej prasie burżuazyjnej ukazywały się też w kwietniu krótkie notatki, starające się wyjaśnić przyczyny, dla których Lenin powrócił do Rosji poprzez Niemcy. „Riecz” pisała 7 kwietnia, że może to być okoliczność korzystna dla interesów niemieckich na froncie, natomiast „Utro Rossii” pisało w tym samym czasie, że każdy bez względu na poglądy polityczne ma prawo powrócić do ojczyzny. „Bierzemy Wiedomości” (Wiadomości Gieldowe) występowały przeciwko



sugestiom aresztowania Lenina i agitatorów bolszewickich. Zdaniem gazety, z Leninem należy polemizować.

Nowe momenty w ocenie Lenina przynoszą gazety burżuazyjne w czerwcu. Tylko pierwsze numery pozbawione są specjalnych treści antybolszewickich. Zamieszczono np. dokładną informację o wystąpieniu Lenina na I Zjeździe Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie (3. VI. 1917). „Russkoje Słowo” pisało 6 czerwca:

„Pojawienie się na trybunie lidera bolszewików powoduje poruszenie na sali. Wszyscy śpieszą do pierwszych rzędów, aby wysłuchać przywódcy bolszewików. Lenin mówił około godziny. Przemówienie jego było bardzo logiczne, przechodził od jednej myśli do drugiej, rzucał demagogiczne hasła”.

Odnótowano też słynną wypowiedź Lenina z I Zjazdu, że bolszewicy w każdej chwili mogą wziąć władzę w swoje ręce.

Przy końcu czerwca pojawiają się w prasie burżuazyjnej artykuły, które w niewybredny sposób starały się dyskredytować partię bolszewików. Od lipca cytowane gazety stanęły we wspólnym froncie rządowej nagonki na Lenina. „Utro Rossii” zamieściło 17 lipca dwa dokumenty, które były podstawą prowokacyjnego oświadczenia Aleksiejskiego, oskarżającego Lenina o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Publikowano całą serię informacji związanych ze śledztwem prowadzonym wobec Lenina. Nieustające demonstracje robotnicze, głód i klęski

wojsk rosyjskich — wszystko to przypisywano działalności bolszewików.

Publikowano artykuły poświęcone Leninowi dalej. W sierpniu, wrześniu i październiku zaczęto wysuwać nowe problemy, a zwłaszcza kwestie powstania zbrojnego i możliwości przejęcia władzy przez bolszewików. „Utro Rossii” pisało już 20 sierpnia:

„Lenin i jego partia marzą, że już obecnie nadszedł czas dla budowy socjalizmu, powstały warunki dla dyktatury proletariatu, a Rosja, szczęśliwy kraj, będzie pierwszym twórczym źródłem socjalizmu, a potem wielka historyczna fala rewolucji socjalistycznej obejmie cały świat”.

Anonimowy autor nie przewidywał z pewnością, że nieświadomie wypowiedział słowa, które jakże szybko potwierdziła historia.

Rosyjska prasa burżuazyjna zbliżona do partii liberalnych jest jeszcze jednym szczególnego rodzaju świadectwem ukazującym wielkość Lenina, jego rolę jako organizatora Rewolucji Październikowej. Celem publikacji prasowych było początkowo krytykowanie, a potem oczernianie partii bolszewików i Lenina. Efekt kampanii prasowej był odwrotny, co musiały nawet przyznać gazety burżuazyjne. Ale najlepszym potwierdzeniem błędnych ocen burżuazji były wydarzenia Wielkiego Października. Lenin i jego partia doprowadzili do tego, że marzenia o budowie socjalizmu w Rosji stały się rzeczywistością.

DR MARIAN WILK

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Korespondencja z Algierii

Gościwy dzień w El Asnam

Stojąc w cieniu i zamykając oczy tak czy owak masz wrażenie, że z dwustu stron wali do ciebie słońce. Przysiadając na skraju chłodnika w podmuchach wiatru gorętszego niż oddech huty, patrzysz przez rozdzierane powietrze na białe, zamazujące się kontury udreżonego miasta.

Człowiek o poranej brudziarni twarzy, roplejących nogach i wysmarowanych czerwona maziugą dłoniach, przemierza chwiejnie pył drogi. Po ulicach krąży jak widmo policyjny łazik i ci w środku, w tropikalnych hełmach i zapiętych mundurach, opływają potem. Pies, pierwszy, którego tu spotkałem i ostatni, który mógłby żywić w tym kraju jakąś nadzieję, kręci się ogłupiony u palem wokół własnego ogona, żeby rozłożyć wreszcie łapy i omdleć. Za to koty są czujne.

Stroszą w zakamarkach wychudłe grzbiety. Kiedy spada z nieba na dach lepianki konnażczy ptak, skaczą do niego we czterech i rozdzierają futerko zębami.

Jest mi źle. Ale wczoraj było dużo gorzej. Dlaczego muszę o tym myśleć?

Kiedy przed południem zwiedziłem fabrykę soków owocowych, nie jeszcze nie zapowiadała kryzysu. Chodziłem z notesem w ręku po halach, które pięć lat temu wybudowali Jugosłowianie i słuchając objaśnień dyrektora — zapisywałem wszystko, co potwierdza opinie, że Algieria „robi” socjalizm.

Był tam odpowiednik rady zakładowej, strzegący interesów stu czterdziestu stałych i kilkudziesięciu sezonowych robotników.

Była tam organizacja partyjna, do której przynależeli zdecydowana większość załogi.

Były tam również sale wykładowe, gdzie odbywa się na przemian: szkolenie ideologiczne, obowiązkowa nauka języka arabskiego i zbiorowe modły do Allacha.

Po obiedzie przewodnicy zawieźli nas do jednej z licznych w tym rejonie kooperatyw, których struktura przypomina polskie pegeery. Obejrzałem hodowlę bydła, stojącego u koryt i siorbiącego nieprzerwanie mętną wodę, a później szukałem chłodu w gajach pomarańczy. Zerwany z drzewa owoc nie gasił pragnienia; kwaśny, gorący jak upieczone w ognisku jabłko.

Biegła za mną przez pole chmara nagich dzieci. Przystanąłem, a one otoczyły mnie wstydliwie. Murzyniátko, które kilka dni temu musiało przeżyć szczęście obrzeźania, drobilo nóżynkami w brunatnym piachu.

Skinąłem na niego, ale nie podszedł. Kiedy rzuciłem mu pięćdziesiąt centymów, podniósł

je z miną człowieka, znającego wartość pieniądza. Męczyło go chyba uczucie wdzięczności, bo zniknął gdzieś na parę minut; wrócił; wręczył mi z dumą czerwoną, przejrzałą brzoskwinie.

Czułem wate w nogach i ból serca. Siadłem pod najbliższym drzewem, jednak wciąż jeszcze, jak to się mówi, byłem aktywny zawodowo...

Pisałem: gospodarstwo ma dziewięć hektarów i zatrudnia tylko stu dwudziestu robotników, lecz w szczytowym okresie zbiorów współpracują z nim także okoliczni „solowi” rolnicy. Średnia dniówka wynosi tu piętnaście dinarów algierskich, co w oficjalnym przeliczeniu równa się trzem dolarom, a w czarnorynkowym — dwóm. Za piętnastką można kupić dziesięć butelek coca-coli, albo półtora kilograma kawy. Jednak popularna koszula kosztuje czterdzieści dinarów, natomiast modna marynarka — trzysta. W kooperatywie urzę-

dują codziennie dwie pleięgniarki, trzy razy w tygodniu przyjeżdża z miasta lekarz. Teren jest starannie zmeliorowany, na roli pracuje kilkanaście nowoczesnych ciągników, wszystkie pomieszczenia gospodarskie są zadbane. Kierownictwo kooperatywy, które ma za sobą studia w zagranicznych instytucjach, twierdzi, że „cała załoga odznacza się wysokim stopniem świadomości”, co wynika z odpowiednio prowadzonej akcji propagandowej. To prawda. Choć w Algierii żyje do teraz dziesiątka tysięcy obszarników z majątkami powyżej stu hektarów — własne sektory rolnicze przybiera w szybkim tempie socjalistyczne oblicze. Tendencja, aby drogą łagodnej agitacji łączyć ziemie indywidualnych rolników w duże, kontrolowane przez państwo gospodarstwa, nie napotyka na opór. Kooperatyw jest coraz więcej, lecz wydaje mi się, że sprawiają to nie agitki, a trudne warunki naturalne. W

POLONICA

O „LITERATURZE NA ŚWIECIE”

Biuletyn wiedeński „Strzechy” obok wielu informacji z Polski przynosi informacje o nowym piśmie polskim „Literatura na świecie”. Jest to prezentacja linii redakcyjnej, informacja o składzie redakcji a także charakterystyka pierwszego numeru. Biuletyn „Strzechy” zachęca do zapoznania się z ciekawym polskim miesięcznikiem.

(er)

WŁOSKI PISARZ W POLSCE

W Polsce bawił, wraz z grupą pisarzy włoskich, wybitny prozaik, Pietro A. Buttità, syn sławnego poety sycylijskiego, znanego przeciwnika faszystów. Buttità napisał kilka powieści, m. in. powieści nieznane i bardzo popularną opowieść pt. „Ulotka”. Jest on także kolumnistą w dzienniku zagranicznym włoskiego radia i telewizji (R. I. T.). W Polsce zwiedzał Warszawę i Kraków, które na nim wywarły ogromne wrażenie.

W. N.

POLSKI PISARZ TLUMACZONY NA JĘZYK FRANCUSKI

Po francusku ukazała się książka polskiego poety, filozofa i eseisty, Jerzego Brauna, „Aperçu de la philosophie de Wroński”, w tłumaczeniu Adama Łady Cybulskiego. Historia tego przekładu jest interesująca. Adam Łada Cybulski spędził blisko 50 lat we Francji i przełożył m. in. niemal wszystkie dramaty Wyspiańskiego. W jego (i Lenormanda) tłumaczeniu zagrano „Wesele” w 1923 roku w Paryżu w teatrze eksperymentalnym „Art et Action” na Montparnasse. Po zakończeniu drugiej wojny światowej przełożył Adam Cybulski studium Jerzego Brauna o Wrońskim, napisane w 1943 roku w Warszawie na podstawie konspiracyjnych wykładów w Uniwersytecie podziemnym. W 1966 roku znaleziono maszynopis tego przekładu i obecnie opublikowano, z przedmową autora, przełożoną przez Wandę Dzieduszycką-Karską. Józef Hoene-Wroński, znakomity matematyk, filozof i erudyta, żył w latach 1776–1833. Niedoceniony za życia, budził obecnie coraz większe zainteresowanie na całym świecie. (I już Niemcy próbowali sobie przywła-

ścić tego patriotę polskiego, bytego żołnierza Kościuszkowskiego i legjonisty, który niemal całe życie spędził we Francji, pisywał po francusku, po polsku i po angielsku). Ciekawe, że wielkość tego filozofa przeczuwali Norwid i Gounod. Jerzy Braun zajmował się filozofią Wrońskiego od 1932 roku.

W. N.

„AKZENTE” O GOMBROWICZU

W jednym z ostatnich numerów zachodniemieckiego czasopisma literackiego „AKZENTE” znany tłumacz Karl Dedecius opublikował esej o dramaturgii Witolda Gombrowicza pt. „Dramat jako parodia dramatu”. Dalsze trzy eseje, stanowiące trzon numeru, poświęcono autorom dramatycznym tej rangi co Odón von Harvath, Peter Handke i Arnold Wesker.

W ankiecie rozpisanej przez redakcję „THEATER HEUTE” (Hamburg) wśród piętnastu zachodniemieckich krytyków teatralnych na temat m. in. najważniejszej nowej sztuki minionego sezonu, dwóch recenzentów „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — Gunther Ruhle i Hans Schwab-Felsch — wybrało gombrowiczowską „Operetkę”.

SK.

O LECU

W ukazującym się w Kolonii (NRF) dzienniku „Kölnischer Stadt-Anzeiger” zamieszczono recenzję o „Wielkiej księdze myśli nieuczczonych” (Das grosse Buch der unfrieser ten Gedanken) Stanisława Jerzego Leca, które Karl Dedecius pięknie na niemiecki przełożył, a monachij-ska oficyna Hansera wydała. Autor recenzji wyraża wysoką notę aforyzmu Leca. Zresztą książka, licząca blisko 300 stron druku, zawiera również wybór wierszy i epigramatów pisarza. Recenzent kończy swoje omówienie słowami: „W literaturze niemieckiej nikt nie osiągnął poziomu aforyzmu Lichtenberga. Polak Lec niejednokrotnie zbliża się do niego.”

Dodajmy, że „Myśli nieuczczone” Leca zrobiły karierę nie tylko w NRF i nie tylko w Europie. Wydano je także w Ameryce, gdzie stały się tematem dysertacji na jednym z tamtejszych uniwersytetów.

JK

POLONICA

Sytuacja obywatela jest przykra, gdy ktoś bezkarnie kpi z jego Rządu. Sytuacja obywatela jest beznadziejna, gdy widzi, jak Rząd wydaje mądre uchwały, anulując zbędne zarządzenia, eliminuje za pomocą aktów prawnych przerosty biurokracji i wszystko to rozplywa się w grząskiej, zastygłej magmie (a może dzungli) Administracji Niższych Szczebli.

Zanotujmy sytuację. Oto mam tzw. promesę na zameldowanie w Łodzi, oto mam przydział mieszkania spółdzielczego. Na ul. Brukowej czeka na mnie wóz meblowy WPHM, który w ciągu paru godzin przewiezie moje graty ze starego mieszkania do nowego.

Za mną już wielomiesięczne zbieranie i składanie zaświadczeń, załączników, podań, wniosków i formularzy. Dziś już nie zliczę, ile tego było — dziś zresztą nie chcę tego liczyć. Oto mam prawomocny dokument warunkujący moje zameldowanie w Łodzi otrzymaniem mieszkania. Otrzymałem mieszkanie, więc mogę otrzymać do niego klucz...

Nie. Karuzela zaczyna się od nowa.

Dowiaduję się bowiem, że klucz otrzymać mogę dopiero wtedy, gdy oddam klucze do poprzedniego mieszkania. Zapytuję Panów Idiotów, którzy taki przepis wydali — jak to jest możliwe? Każdy mniej więcej normalny człowiek wie, że nie można się przemieszczać w przestrzeni z meblami, niby sympatyczny duch Hopkirka. Jak to jednak możliwe, że podobny przepis może egzystować tyle lat? Jak to możliwe, że w przepisach regulujących zmianę miejsca zamieszkania nie przewidziano czasu na... przeprowadzkę? Myślę jednak, że owa irracjonalna zasada oddaje, jak rzadko która, surrealizm myślenia naszej Administracji.

W administracji jednak — na szczęście — pracują ludzie, więc poradzone mi życzliwie: „Wystarczy ostatecznie zaświadczenie z poprzedniej spółdzielni, że pan im klucze zda w określonym terminie. Tak się praktykuje, bo każdy wie, że przepis jest nieracjonalny. Łagodnie powiedziane. Dodam od siebie — przepis jest po prostu głupi.”

W spółdzielni „poprzedniej” zaświadczenie otrzymałem, bo tam też pracują ludzie i wiedzą, że życie to nie film z życia duchów. Ale — właściwie to nie mamy prawa wydawać takich zaświadczeń przed oddaniem kluczy, rozumiejący jednak, że... i tak dalej.

Pytam więc — po co opasłe segregatory zarządzeń, skoro właściwie i tak decyzja zależy od zdrowego rozsądku urzędnika, który buntując się podświadomie przeciwko tępotnie przepisowi — „idzie na rękę”, omijając bzdurne zarządzenia. Musi je omijać, bo inaczej całe nasze życie zaczepałoby się jak grubas w za wąskich drzwiach.

Ale to wszystko nie przedzieli bezkarnie. U obywatela rodzi się niechęć, opór, złość, opozycja wobec wszelkich przepisów. Człowiek wchodzi w dzunglę Administracji obojętnej — wychodzi z niej zmaltretowany i wrogi. Gorka to prawda.

Przed paroma miesiącami Premier wydał zarządzenie o ograniczeniu zbędnych, dubiujących się zaświadczeń. W komunikacie podano nawet przykład — jeśli w dowodach osobistych rodziców znajdują się wpisy, dotyczące

dzieci, niepotrzebne są dodatkowe zaświadczenia w postaci aktów urodzenia.

Minęło parę miesięcy, a dzielnicowe rady narodowe nadal żądają przy meldowaniu metryk dzieci — bez względu na wpisy do dowodów osobistych rodziców. Brak zaufania do obywatela? Mogę się przeciwko temu oburzać, ale potrafię zrozumieć. Ale to przecież brak zaufania Administracji... do samej siebie. Nie ja wystawiłem sobie dowód, nie ja dokonałem w nim wpisów. Mam prawo żądać, aby organa władzy, które mi dowód osobisty wystawiły, miały szacunek i zaufanie do swoich własnych dokumentów. Jak obywatel ma traktować własny dowód tożsamości, jeśli organa władzy nie traktują dokumentu na tyle poważnie, aby mu ufać?

Podobnie z promesą na zameldowanie. Otrzymałem ją rok te-

wypadku przepis dał mi odczuć, że mieszkanie jest moje z dniem podpisania przydziału. Odczuć czynsz płacę od tego właśnie dnia — zanim jeszcze to samo prawo zezwoliło na wydanie mi kluczy.

Doświadczając tego na własnej skórze setki osób dziennie, wszyscy kręcimy się w trybach maszyny Administracji. Wszyscy napotykałyśmy to doskonale znane stwierdzenie: albo suche: „takie są przepisy”, albo życzliwe i ludzkie: „proszę zrozumieć, ja muszę trzymać się przepisów”.

Przepisy. Takie są, trzeba się ich trzymać. A potem przychodzi refleksja, że to wszystko dzieje się w zgodzie z jednym przepisem, a obraża drugi. Że jakiś trzeba jednak ominąć, bo zbyt nonsensowny, a inny już został anulowany na szczeblu Rządu, ale żyje na szczeblu dzielnicy.

Na marginesie warto przytoczyć

JERZY WILMAŃSKI

NIE MÓWCIE MI O PRZEPISACH

mu — na jej podstawie spółdzielnia wydała mi przydział mieszkania. Logicznie rzecz biorąc, skoro spełniony został podstawowy warunek — uzyskanie własnego lokalu — promesa winna być automatycznie podstawą zameldowania.

Otóż nie. Znow ten sam organ władzy, który mi promesę wydał, żąda teraz ode mnie złożenia wniosku z uzasadnieniem o decyzję zameldowania. Znow godziny stracone na wyczekiwanie w tłumie — podobnych jak ja — desperados, znow kolekcjonowanie pieczętek i zaświadczeń... Jeszcze raz, tych samych co przed rękami na wniosku o promesę.

Jeśli wreszcie otrzymam ową decyzję, która jest pustą formalnością, jeśli otrzymam zaświadczenie z poprzedniej spółdzielni, wydane mi z łaski urzędnika (bo gdyby się uparł, mógłby nie wydać), jeśli z Balut i Połesia przyniosę metryki synów, jeśli... Wówczas otrzymam klucz od mieszkania.

Moje mieszkanie. Bowiem mieszkanie to stało się moim z chwilą podpisania przydziału przez zarząd spółdzielni. Tak stanowi prawo, którego dotąd nikt w Polsce nie anulował. Według tego prawa spółdzielca, z chwilą otrzymania przydziału mieszkania, jest jego użytkownikiem, jest osobą cywilno-prawną i przydziału tego cofnąć nie może żadna administracja. Tak stanowi prawo spółdzielcze, obowiązujące w Polsce od lat.

A zatem klucz powinienem otrzymać już tego dnia, kiedy pierwszy raz zjawiłem się na osiedlu z przydziałem w kieszeni. W myśl prawa wszelką następującą potem zwłoką i biurokratyczną karuzela były niezgodne z przepisami prawa. W jednym wszakże

słowa Barbary Seidler, która pisze w 43 numerze „Życia Literackiego” o tym „Aby prawo nie było zawałidrogą”.

„W samym Ministerstwie Gospodarki Komunalnej żalili mi się pracownicy, że nie są w stanie zapanować nad ilością obowiązujących przepisów i aktów normatywnych, że gubią się w tym morzu artykułów i paragrafów. Więc jeśli oni gubią się w tym i wyznają ze skrucha, że nie mogą mi wskazać nikogo, kto swobodnie obraca się wśród stosu uchwał i zarządzeń — to co ma powiedzieć obywatel? A przecież gospodarka komunalna to dziedzina funkcjonowania organizmu państwowego, z którą styka się on co dzień, która bezpośrednio wpływa na standard jego życia, na jego samopoczucie.

A jeszcze na dodatek dowiadujemy się, że „wypiechone” po latach nowe prawo lokalowe jest fatalnie przygotowane, zawiera wiele bezsensownych przepisów, i że trzeba je torpedować, aby nie zostało w tym brzmieniu uchwalone”.

Jeszcze tydzień, jeszcze dwa, a obudzi się nocą z krzykiem: „Nie mówcie mi o przepisach, nie chcę o nich słyszeć...” I myślę, że mądre przepisy to właśnie takie, o których nie trzeba mówić, które są, regulują ludzkie sprawy, tak, jak brzegi wytyczają bieg rzekom. Jeśli zachodzi konieczność zbyt częstego, zbyt natrętnego mówienia o przepisach — wtedy wiadomo, że nie są to przepisy-brzegi, lecz przepisy-mielizny, przepisy-rafy... Tylko, niestety, słowo, perswazja, a nawet krzyk nie likwidują mielizny i raf. Mogą tylko wskazać ich położenie. Aby oczyścić koryto rzeki, potrzebne jest działanie. Inaczej biurokratyczny szlam zamuli nam rzekę do reszty.

jałowej glebie i morderczym klimacie fellach walczącej samotnie nie ma szans. Potrzeba mu nawozów sztucznych, kanałów nawadniających, sprzętu mechanicznego, rozsądnych doradców, no i, na koniec, idei przewodniej. Ponieważ wszystko to znajduje w kooperatywach, nie waha się wejść do „państwowego interesu” z udziałem, który otrzymał najczęściej, nie tak dawno, w wyniku reformy rolnej.

Usłyszałem zgiełk głosów i szum silnika. Ktoś wołał mnie do autokaru.

Zwlokłem się jakoś chowając notatki i wszedłem do rozpalonego pudła. Ludzie w rozhelastych, przepoconych koszulach, przyklejali się z męką w oczach do siedzeń, na których wykwiwały momentalnie mokre plamy. Jedni kładli ręczniki pod plecy, inni pod nogi, a jeszcze inni, unikając zetknięcia ze sztucznym tworzywem, garbili się pocieszenie.

— Gdzie jedziemy? — pytało przewodników.

Ten w wojskowej bluzie z zaciękami soli pod pachami, był partyzant, a teraz działacz młodzieżowy, uśmiechnął się tajemniczo.

— No, gdzie?

— W góry.

— Po co?

— Nad szklaną zapórą.

Nikt nie przejawiał entuzjazmu. Byliśmy wykonńczeni. Marzyliśmy o hotelu, który miał piękny sztyl: „Pod Beduinem”, i równie piękne wnętrza. Półkolony bar i chłod bijący od kamiennej posadzki. W kranach i natryskach pojawiały się czasami woda. Kolorowe, czyste pokoje o milczących telefonach i łóżka z gąbczastymi materacami, przypominającymi nawet w środku nocy kafele buzującego pieca. El Asnam jest drugim po Saharze, najgorętszym punktem w Algierii, a może nawet w Afryce. Dwa lata temu było tu podobno pięćdziesiąt pięć stopni, podczas gdy rekord

świata wynosił pięćdziesiąt siedem. W El Asnam, tak samo zreszta, jak w Bilidzie, rzadko pojawi się o tej porze jakiś zwariowany turysta. No, ale hotele są tam cudowne, więc marzyliśmy o powrocie: napojach z lodem i błogosławionym odpoczynku, który — z chwilą, kiedy minęliśmy przedmieścia i wzięliśmy kurs na południe — zaczął się oddalać, powodując lekkie rozdrażnienie pasażerów.

— Widzieliśmy takie zapory.

— Nie — powiedział ten w bluzie. — Takich nie widzieliście.

— A daleko to?

— Piętnaście kilometrów.

Setka była na leżniku, ale wiatr, wpadający przez otwarte okna z pierwszym zmierzchem, parzył twarz i zapierał oddech.

Siedzący za mną mężczyzna dziwił się, że wiatr przy tej szybkości może być tak gorący.

— Nie zna pan Afryki — przerwał jakiś głos. — W Afryce wszystko jest na odwrót. Jak

jedziesz wozem i chcesz mieć trochę chłodu, to musisz zamknąć okna, a nie rozwałić je na oścież!

— Więc zamknij pan!

— Ale trzeba zamknąć wszystkie!

— No, to wszystkie!

— Chcą nas podusić! — protestowało parę osób. Ale eksperyment został wykonany. Przyznosiło to połowiczną ulgę. Zapadła cisza. Patrzyliśmy na puste pola i polyskujące gdzieś niedługo na pagórkach domki marabutów: kopulaste groby dobrych za życia i uswieconych po śmierci muzułmanów. Milnęliśmy porzuciwszy tory kolejowe, a później małą drewnianą stacyjkę, na której już od dawna nie zatrzymał się żaden pociąg. Zbiegła godzina, lecz góry były ciągle daleko. Szofer Ali, Arab z działa prądu, nie znający jednak tych stron, zaczął się niecierpliwie. Ten w bluzie uspokajał go łagodnie.

— To co mówicie, że piętnaście? — No, może trzydzieści.

— A może pięćdziesiąt?

— Ale nie więcej. — I uśmiechnął się częstując Alego papierosem. To był wspaniały facet. Jeśli nawet skłamał z tymi kilometrami, to tylko dlatego, żeby jak najwięcej nam pokazać. Znal tu każdą grudek ziemi. Krew — mówił, wytykając ręką zniszczone przez Francuzów wioski. — Wchodził i zostawiał przy życiu tylko kobiety i dzieci, rozwalając wszystkich mężczyzn.

Przypomniałem sobie nagłe cyfry. Algierczycy: ponad milion zabitych, trzy miliony przeganych, pół miliona uwięzionych lub internowanych, trzysta tysięcy zbitych. Osiem tysięcy wsi algierskich i tysiące hektarów lasu chroniącego ten kraj przed erozją — poszło z dymem. Cztery miliony sztuk bydła stanowiącego największy skarb fellachów — zamordowano bez sensu. Spacyfikowana prowincja do dziś zionie zgliz-

— No, może trzydzieści.

— A może pięćdziesiąt?

— Ale nie więcej. — I uśmiechnął się częstując Alego papierosem. To był wspaniały facet. Jeśli nawet skłamał z tymi kilometrami, to tylko dlatego, żeby jak najwięcej nam pokazać. Znal tu każdą grudek ziemi. Krew — mówił, wytykając ręką zniszczone przez Francuzów wioski. — Wchodził i zostawiał przy życiu tylko kobiety i dzieci, rozwalając wszystkich mężczyzn.

Przypomniałem sobie nagłe cyfry. Algierczycy: ponad milion zabitych, trzy miliony przeganych, pół miliona uwięzionych lub internowanych, trzysta tysięcy zbitych. Osiem tysięcy wsi algierskich i tysiące hektarów lasu chroniącego ten kraj przed erozją — poszło z dymem. Cztery miliony sztuk bydła stanowiącego największy skarb fellachów — zamordowano bez sensu. Spacyfikowana prowincja do dziś zionie zgliz-

szcami i nie może wylizać się z tan.

— O, tu! — człowiek w bluzie wskazywał wille na pustkowiu, o tarasach, na których kładły się ostatnie cienie palm. — Skład broni. Siedziba wielkiego francuskiego kolaboracyjnisty, walczącego do ostatniej godziny pod hasłem: każdy Arab pół metra w ziemi.

— Zyje? — pytałismy.

— Aha. W Paryżu. I nawet dobrze mu się wiedzie.

A potem wjechałismy w góry i zaczęły się pierwsze serpentyny na wąskiej, asfaltowej, ciemnej i pozbawionej jakiegokolwiek ochrony drodze, i tych serpentyn było wlecz więcej i coraz bardziej stronne, tak, że ty wozu zwiślał nieustannie nad brzegiem skalnych urwisk i przepaści, z których jedne miały trzysta metrów, a inne jeszcze więcej; więc pasażerowie autokaru: polscy lekarze fellachów — zamordowano bez sensu. Spacyfikowana prowincja do dziś zionie zgliz-

Dalszy ciąg na str. 8

Towarzysze broni

GENERALOWI ARMII P. I. BATOWOWI

W dwudziestym roku był on dziarskim,
Wiesć niesie, komendantem roty.
Nasz Surkow — majster rusznikarski
W tej rocie ładził kulomioty.

Wtedy nie znałem, co to fronty,
Nawet nie znałem, co to życie.
Ujrzałem świat w dwudziestym piątym,
Zeby w czterdziestym trzecim bić się.

Poszeptaliśmy z zachwytem,
Ze nasz generał to literat,
Ze w ich plejadzie znakomitej
Liczył się niegdyś nasz generał.
A budził respekt nie posturą,

Lecz wyniesionym z bojów hartem
W interbrigadzie nad Sekurą,
Gdzie służył był pod Mate Zalkiem.

Wróg tłukł w nas całym arsenałem,
Niebo zdawało się, szaleje...
A na inspekcję z generałem
Chadzali — Kolecow z Hemingwayem.

Nasz sierżant Sabol też poeta,
Dwie mu zalety muzy dały:
Raz że poeta...
Zaś zaleta

Druga — że saper doskonały.

Kiedys tak
Na przyczółku Narwi
Leżę z Sobolem pod ostrzałem —
Gwarzymy o dowódcy armii...

Aż tu na linię go przyznało.
Zrywam się,
Język kolkiem staje —
Každy się w taki czas przeleknie.
— Aa, sierżant Sobol? Nikołajew?
Poeci razem?
Proszę, pięknie.

Niebo rakiety błysk rozświecił...
Rzekł do nas, nim z transej wyszedł:
— Przecucie mówi mi, poeci,
Ze jeszcze o was rad posłyszę.
Śnią mi się nieraz brzegi Narwi
I nasza w dymie dział transeja,
I wszyscy towarzysze z gwardii —
Nie wyłączając...
Hemingwaya.

Przełożył: Tadeusz Chrościelewski

Rozkaz

Alarm poderwał nas o świcie
I oddział ruszył znów co tchu.
— Pakiet z rozkazem otworzycie
w drodze! — rzekł kurier —
szósta punkt!

Przez cały dzień dalej i dalej,
było do szóstej każdy szedł.
Żelazny sprzęt po zębach walił
i automat ranił grzbiet.

Szósta! — Zamarli wszyscy razem.
Dowódca ujął pakiet w garść,
szarpnął
i wznosząc dłoń z rozkazem
krzyknął:

— W tył zwrot! Rozejść się! — Marsz!

Od tamtych dni bardziej niż głazów,
które pod nogi rzuca los,
boję się wciąż wszelkich rozkazów,
tych co prowadzą mnie na wprost.

Idę wciąż naprzód, ale w trwodze,
choć już nie było nigdy tak:
„Pakiet z rozkazem otwórz w drodze!”
Ani:

„W tył zwrot! Rozejść się! — Marsz!”

Wciąż czegoś brak mi, na coś czekam,
jakby miał nadejść pod mój dach
pakiet wysłany gdzieś z daleka
i zagubiony w tamtych dniach.

Przełożył: Igor Sikiryczi

NORA JAWORSKA

Przytulam się twarzą do ziemi zagonu.
Dlaczego na świecie się to zdarzyło?
Otello zabija biedną Desdemonę,
Zabija Otello swą miłość.

Tak bywa, gdy ślepa złość ludzi odmienia.
Poczekaj, zatrzymaj się w gniewie!
Dlaczego ty tylko pamiętasz smartwienia,
O niczym już dobrym nie wiesz?

Dobro ze złością mieszało się, spięło, —
I nigdy się nie rozdzieli.
I tylko o jednym wciąż myśli Otello:
O smutku, nie o weselu.

A ty wiesz najlepiej co prawda, co kłamstwo,
Już to rozsądziłeś w gniewie.
Ty miłość zabijasz... I myślisz, że łatwo
Ją zabić, a nie zabić siebie.

Przełożył: Marek Wawrzkiwicz

Wiersze radzieckie

GRIGORIJ PIETNIKOW

Początek

Wszystko zaczyna się z chleba,
z garstki soli przyrodznej,
z iskry, dobytej z kamienia
albo wykradzionej niebu.

Z ziaren, dążących do światła,
lecz tkwiących jeszcze pod ziemią,
z dźwięków, lecących na skrzydłach,
które w powietrzu się mienia;

z tych dźwięków, które nawzajem
skrzykują się górą, dołem,
zderzają się, zespalają,
kwiat opylają jak pszczoły.

Wszystko zaczyna się z bólu
przed urodzeniem i po nim,
z pie...szej miłości,

z sekretów
jaskółki, cienia, jabłoni.
Z rąk macierzyńskich,

z odkryć najpierwszych,
ze słowa,

z baśni,
gdzie zło przed dobrem się cofa
i słońce nigdy nie gaśnie;

z rąk spracowanych kowala
i z rąk, na których łańcuchy,
wykute w sprzedajnych kuźniach
za pieniądź, który zniewala.

Wszystko rozpala się pieśnią,
prawdy cierpieniem żywym:
tak różnymi drogami
gonimy za szczęściem prawdziwym.
Są tacy, co chcą je zdobyć
strategią kłamstwa, ustawy.
My
chcemy na nie zarobić,
przejednać los nietaskawy.

Sluchając brzmienia kornetów,
piania kogutów w czas świtu —
Od Lenina rozpoczynamy,
stojąc przed wysokim szczytem.

Lecz to zaledwie początek,
dalej trudniej,
bo wyżej:
głęboki oddech,
haust szczęścia,
dalej —
a właściwie bliżej.

Przełożył: Tadeusz Gicgier

LEONID CHAUSTOW

Pamięci przyjaciela

Tu jak dawniej piołuny i mięty,
Świecą gwiazdy, trawa w chłodzie wędnie,
Wiatr przynosi woń lubinu gęstą
I butwieją liście jesienne.

Tutaj zawsze milczenie ogromne.
W twarz mi wieje nocy oddech zimny.
I nie mogę cię wspomnieć, zapomnieć,
Bo ty przecież zawsze jesteś przy mnie.

Przełożył: Marek Wawrzkiwicz

STIEPAN SZCZIPACZEW

Natarcie dziś i jutro znów do boju,
w ziemiance po wybuchach na głowy sypie piach.
Nie ma od Ciebie listu, więc nie ma i spokoju...
Na pewno się zmieniłaś i Twoja twarz we łzach.

Nieprawda — także teraz stajesz przede mną jasna,
jesteś jak dawniej piękna młodością i pokojem...
A moja miłość płonie, ciągle nie wygasa
i przed oczyma widzę zarysy twarzy twojej.

1943

Przeniosłem miłość Twą przez wszystkie złe rozłąki,
Szczęśliwy dziś, że chociaż nie ma Ciebie
Nawet jej cień nie dotknął obcej zachłannej ręki
i że jej wiatr nie rozwiłkował po posiwiałym niebie...

1944

Przełożył: Jerzy Wilmański

Pamięci
Tycjana Tabidze

Na Mchecie upada gwiazda,
Kruszą się jej rozżarzone włosy,
Ja tu krzyczę nieczłowieczym głosem —
Na Mchecie upada gwiazda!

Kto zdecydował o kaźni,
Kto dał głupcowi to prawo,
Gwiazdę posłać na rzeź krwawą?
Kto zdecydował o kaźni,

I wyznaczył śmierć na sierpień,
Przy nazwisku pieczęć odbił?
Gwiazdę ścinać — jakże podle!
Kto wyznaczył śmierć na sierpień.

Wojna — tobie! Dżuma — tobie!
Morderco, który na plac wiedziesz
Gwiazdę, by ją zarząbać jak żrebie.
Wojna — tobie! Dżuma — tobie!

Na Mchecie upada gwiazda.
Już nie bolesne jej rozbicie.
Ale płacze Tycjan Tabidze...
Na Mchecie upada gwiazda...

Przełożył: Konrad Frejdllich

SIERGIEJ ORŁOW

Śmiała się kobieta, śmiała się,
Jakby wciąż jabłka upuszczała,
Jakby się cień i płomień lasił,
A ludziom ciągle było mało.

Wietrzyk odstaniał jej kolana,
Więc ręką po spódnicy biała
I chichotała przechylona,
Bo zawsze robić tak lubiła.

Wszystko dokoła niej się zmienia,
Bo tamto jasne i świąteczne
Gwałtownym poruszone drgnieniem
Staje się świeższe, żarem piecze.

A zaszło tak niewiele, zda się —
Popchnięte, dzwonem pojaśniało.
Śmiała się kobieta, śmiała się,
Jakby wciąż jabłka upuszczała.

Przełożył: Konrad Frejdllich

GIENNADIJ AJGI

Requiem
przedzimowe

PAMIĘCI BORYSA PASTERNAKA

Odprowadzę i zostanę jak chór milczący
w przestrzeni i dniu wyznaczonym
Zimowe kroki przemijania są śladami sady

Czas spełnia się ponad nami
koło bramy klasztoru
wirują płatki śniegu rzucone w ogromny świat

Nieodzwonność kroków
zda się ratunkiem stamtąd

Dośkonałość wieku jest utrwalona
ludzkość żądna jest chwały
możesz odejść
nie książka — to glob namiętności
leży na twym stole

Ostatni rok jak sadza spada na dachy
odchodzących wieków które w książkach podarto
Každy ich strona wymaga
linii cię i zmarszczek dla siebie
przez twoje ręce
w których chłód
przez okno za którym
zaspasy brama domu

Przełożył: Wasyl Kocznow

Dramat jest dyscypliną ze wszystkich najtrudniejszych, do uprawiania której nie wystarczy nawet mistrzowskie władanie słowem. Liczne tego przykłady mamy we własnej literaturze. Tak mniej więcej zaczyna lekcję polonista w gimnazjum i z tak urobioną już w szkole opinią wkraczamy w życie.

Kraje o młodej tradycji literackiej nie posiadają własnego, narodowego dramatu w ogóle. Korzystają z istniejących już i gdzie indziej wypracowanych wzorów. Można z tego wysnuć wniosek, że powstanie dramatu musi poprzedzać cały szereg procesów twórczych. Klasycznym przykładem jest Grecja, ojczyzna europejskiego dramatu. Zanim powstały tam wartościowe utwory teatralne istniała już wielka poezja i epika. Wysoka kultura literacka zdaje się być niezbędnym czynnikiem klimatotwórczym. Amerykanie na swojego narodowego dramaturga, O'Neilla, musieli czekać kilkadziesiąt lat. Ale nawet on, tak bardzo amerykański, czerpał pełnymi garściami z tradycji europejskich. Tą zaś przez wieki rządziły przez Greków wypracowane wzory, przede wszystkim przy jedności „czasu, miejsca, akcji”, trzy kanony dobrej roboty!

Rzeczywiście one nie tylko formalną stroną utworu, ale także jego treścią. Kto nie umiał zmieścić swojej wypowiedzi w sztywno określonej i powszechnie przyjętej formie, ponosił klęskę.

Prawo trzech jedności było ogólnie znane. Każdy dramaturg przy jego pomocy dawał się łatwo sprawdzić, wystarczało przyłożyć wzorek, by wiedzieć, czy utwór jest dobry czy zły. Pisarz, który nauczył się władać tą formą biegle, po prostu nie mógł napisać dramatu złego. Tym bardziej, że za trzema jednościami stały prawa podrzędne, wspierające całą skomplikowaną strukturę dramatu. Do nich zaś należały szczegółowe przepisy odnośnie dialogu, jego kulminacji w ściśle określonych miejscach oraz sposoby budowania akcji ze zdarzeń.

Ze spuścizną Greków walczone długo.

Nowy dramat (nazwijmy go dla odróżnienia) wyzwolony, stał się pozornie łatwiejszy do uprawiania, a przez to trudniejszy do sprawdzenia. Wzbogacił się o nowe treści, poszerzył tematycznie, ale wbrew nadziejom pozostał nadal dyscypliną najtrudniejszą. Wyzwolony z zależności od kanonów przyczynił się znacznie do panującego obecnie chaosu ocen.

Nowy dramat podzielił w tym wypadku los wielu rewolucjonistów, którzy obalając stare formy życia społecznego, muszą rozwiązywać problemy odziedziczone w spadku po starym systemie, które jakże często nie dają się inaczej rozwiązać jak przy pomocy wcale nie nowych metod.

Któż by się jednak do tego przyznał. O wiele prościej jest przemilczeć kompromisy i udawać wolnego od przeszłości przez nieznanie jej po imieniu. Nienazywanie zaś po imieniu praw rządzących dramatem — wyzwolonym mści się zarówno na twórcach jak i na odbiorcach.

Najbardziej cieszą się z tego stanu rzeczy krytycy, którzy mogą dowolnie kreować wielkość w

zależności od swego uznania. Wolni od błędów, bo nieskrępowani żadną formułą, rządzą nie tylko teatrem, ale także opinią publiczną, a niekiedy, a może i przede wszystkim polityką.

Spróbujmy więc nazwać te nieznane, stare prawa, które rządzą dramatem po nowemu.

PRAWO PIERWSZE

Logika zdarzeń: Zdarzenia muszą pozostawać w ścisłym ze sobą związku i doprowadzić do rozwiązania konfliktu przez roz-

KAROL OBIDNIAK

DRAMAT JEST DYSCYPLINĄ...

ładowanie energii nagromadzonej w postaciach w trakcie działania.

Tak było i dawniej, ale nowe pojęcie „logiki zdarzeń” jest bardziej pojemne od jedności akcji. Dzięki temu można akcję rozciągać dowolnie w czasie, przerywać ją w miejscu, przerywać itp. Daje ono pełną swobodę twórcy ograniczonej tylko barierą logiki, czyli bezwzględnej konieczności. Z takim trudem zdobyta wolność zostaje więc natychmiast rygorystycznie przez praktykę życiową ograniczona. By jednak pozory były syte, logikę zdarzeń można zastąpić logiką braku zdarzeń i uczynić z braku akcji cel sam w sobie, który nadaje się doskonale do wszelkiego rodzaju negacji.

Brak akcji nie uwalnia jednak autora od jej logicznego i psychologicznego uzasadnienia, jest to niekiedy zabieg trudniejszy niż zbudowanie logicznego ciągu zdarzeń.

PRAWO DRUGIE

Symbolizacja postaci: Osoby działające na scenie symbolizują postawy różnych grup społecznych, a poprzez działania jednostkowe wyrażają pragnienia i postawy wielu osób.

Toż to prawie banał. A jednak w dobie dramatu politycznego jest potężnym orężem zarówno w rękach twórców świadomych jak i nieświadomych jego działania.

Wyobraźmy sobie dla przykładu sytuację najprostszą. Autor pokazuje na scenie Francuza, Niemca, Anglika i Polaka. Otóż w zależności od tego, jaki będzie Polak, taki będzie sąd widzów o Polakach w ogóle, zwłaszcza tych, którzy nas nie znają, a których na świecie jest ogromna większość.

W przypadku, kiedy autor pisze o swoich prawo to traci nieco na znaczeniu, ale tylko wtedy, kiedy całość jest zrównoważona pod względem pozytywnym i negatywnym. I nie idzie tu o irytującą równowagę matematyczną 1:1, czy 2:2, a emocjonalną, gdzie jeden pozytyw może zmienić nasz, widzów, stosunek do negatywnej skądinąd całości, a tym samym i całego środowiska, w którym akcja się rozgrywa. Jest to możliwe dlatego, że jeden sprawiedliwy, działający w pojedynkę przeciw wszystkim, reprezentuje nie tylko siebie — jednostkę, a wartość ilościowo bliżej nieokreśloną, obiektywizującą się w widzach i pomnażaną przez ich sympatię. Działa więc nie tylko w swoim imieniu, ale w imieniu wielu, i to w dodatku obecnych na widowni. Taki bohater nawet jeżeli przegra i zginie w walce, pozostaje żywym symbolem pragnień i nadziei widzów, pozwala im wyjść z teatru z podniesioną głową i z wiarą w lepsze jutro.

O autorze, który prawa tego przestrzega, można powiedzieć, że jest humanista, człowiekiem, któremu nie co ludzkie nie jest obce, a który umie kochać ludzi za to, że są dobrzy i zły jednocześnie.

Tymczasem dramat wyzwolony coraz częściej obdarza nas postaciami jednoznacznie negatywnymi bez koniecznej potrzeby i co gorsze, czyni to bez jakiegokolwiek umiaru. Pomijam fakt, że dramat taki jest równie fałszywy jak dramat różowy (lakerniczy), prawda o świecie jest złożona zarówno z plusów jak i minusów. Kto pisze, że istnieją tylko minusy, kłamie na równi z tymi, którzy świat zaludniają tylko plusami. Dążenie do równowagi nie tylko nie powinno wykluczać istnienia zła, ale walkę z nim uczynić jeszcze bardziej atrakcyjną i widowiskową.

Co sądzić zatem o dziele Polaka, który pisząc o nas, widzi same minusy? Że nie jest humanista, że czyni krzywdę upowszechniając własne, fałszywe o nas sądy, że dezinformuje, że wreszcie działa przeciwko interesom narodu. Zapewne można by powiedzieć więcej jeszcze. Ale, to co już powiedziałem, wystarczy.

PRAWO TRZECIE

Dialog dynamiczny: Niezależnie od tematu zgodny z obserwowaną na co dzień psychologią odruchów.

Dialogiem dynamicznym postępowali się już starożytni Grecy. Idzie więc nie o nową wartość, a o większy niż dotychczas udział tego typu dialogu w budowie zdarzeń. Zgodnie z tym powinien on składać się z możliwie największej ilości zdań krótkich, twierdzących, a więc nie opisowych, a czynnych. Od niego bowiem zależy dziś być albo nie być dramatu.

* * *

Prezentując Czytelnikom powyższe prawa rządzące nowym dramatem, zapraszam tym samym do interesującego zajęcia. Spróbujcie sami przy ich pomocy dokonać oceny oglądanych w telewizji i w teatrze nowych i starych utworów dramatycznych.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

„...ROZPIĘTY POMIĘDZY WSZYSTKIM A NICZYM...”

Autor „Wystarczy się odwrócić”, Zbigniew Dolecki, posyła swego bohatera, dziennikarza i potrosze poetę, na festiwal muzyczny do uroczego historycznego miasta, zaszyfrowanego pod literką „T”. W hotelu „po krótkim rozprostowaniu kości”, nasz bohater zamyka się w „azyli łazienki” i tak odgródzony od świata staje przed lustrem i głęboko zamyśla się nad sobą. Z monologu wewnętrznego bohatera dowiadujemy się, że wiecznie przed sobą ucieka, że boi się życia jak diabeł święconej wody. Z kobietami też jest na bakier i na próżno jego oczy wysyłają do nich „rozpaczywe sygnały SOS...”. Mieszka więc w wieży, w której jest dużo płyt i książek. Prędko jednak dochodzi do wniosku, iż „fałszywe jest szczęście samotności”, że człowiek nie może być samowystarczalny. Ten masochista i supernadwadźliwiec najlepiej czuje się w świecie muzyki, w sosie kulturowym, przyrządzonym wedle podręczników gimnazjalnych oraz wiedzy z polonistycznych studiów. Wielec zostają przywoływani na każdą stronicę powieści. Na samym początku: motto z Alberta Camusa, a potem tylko w pierwszym rozdziale, zatytułowanym: Niedziela, 17 czerwca — Pascal, Kierkegaard, Eluard, Scarlati, Haendel, Modigliani i sam szef wielkich, Szekspir. Pomnikowe nazwiska i spacje wany druk mają nas upewnić, że autor głęboko myśli. Jest jeszcze dużo rozważań o muzyce i złotych myślach („Zegary służą przecież po to, aby odmierzać ludzki czas”), które jednak mają się tak do myślenia jak plewy do ziarna.

Pobyt narratora w uroczym historycznym mieście i w powieści Zbigniewa Doleckiego rozłożony jest na osiem dni tygodnia. Darujemy sobie rozdział drugi i trzeci, w których narrator jest rozpięty pomiędzy wszystkim i niczym i chwycimy byka za przystawione rogi. W rozdziale czwartym, zatytułowanym: Środa, 20 czerwca, narratora „spotyka wielka

i szczęśliwa przygoda”. Cały czas smutny, medytujący o bycie, pięknie i o swym nieprzygotowaniu do życia, narrator znajduje dziewczynę. Ażby rzecz nie była trywialna, Piękna objawia mu się nad jeziorem w scenerii prehistorycznego Grodziszca, do którego organizatorzy przywieźli uczestników festiwalu na mały relaks. Dziewczyna ma ładną, jasnozielone włosy i wygląda jak... Melisanda! Przy okazji dowiadujemy się od narratora, że „Melisanda jest bohaterką jednej z najpiękniejszych tragedii miłosnych, jakie powstały na przestrzeni wieków”, i że „Imię to stało się natchnieniem dla wielkich kompozytorów: Debussy'ego i Sibellusa”. Jednym słowem nasz sfrustrowany bohater zostaje oczarowany. By zaś historia nie była za prosta, przypomina nam londyńskiego psychiatrę, doktora Newmana, o którym czytał w jakimś tygodniku (czy nie w „Przekroju”?). Doktor ten twierdzi, że „miłość u człowieka zasłana jest elektrycznością i że ludzie mają ją jak gdyby różne nadajniki, o określonej długości fal. W wyniku spotkań się dwóch osób, wysyłających tę samą długość fal, następuje zjawisko zwane miłością od pierwszego wejrzenia”. I co takiego na sześćdziesiątej drugiej stronie powieści Zbigniewa Doleckiego przytrafiła się naszemu bohaterowi.

Proszę się nie obawiać — dalszych osiemdziesięciu stron nie będę streszczać, a i tego, com napisał, za streszczenie nie uważam. Właściwie nie wiele mam książkę Doleckiego do zarzucenia, jest ani gorsza, ani lepsza od innych, jakich dziesiątki ukazują się w witrażach naszych księgarni. Jest sprawnie napisana, ale nijaka, bez twarzy, anonimowa, nie skązona choćby jedną rysą osobowości. Tomaszem Mannem zaś Dolecki nie jest i na próżno usiłuje nas przekonać, że jego rozważania filozoficzno-intelektualne to złoto, bo my i tak wiemy, że to tylko czeska biżuteria.

Przeszłość i teraźniejszość

Nie przepadam za historyczną czarownicologią, chociaż osobicie nie mam nic przeciwko czarownicom, ani nawet czarownicologom, jeżeli potrafia być interesującymi opowiadaczami. Dlatego zachwył mój był arcy-skromny, kiedyś dostał do ręki dziełko pana Kurta Baschwitzy, opatrzone tytułem: „Czarownice”. Dzieje procesów o czary”, ogłoszone przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Ta popularna, bynajmniej nie poważna, naukowa praca nie należy do szczytowych osiągnięć zachodniomiejscowej historiografii, nie jest też wybitnym dziełem spośród tych polskich i obcych, które traktują o tym przedmiocie. Nie zaleca się też żadnymi szczególnymi walorami czytelnicy i gdzie jej do „Czarownic” Julesa Micheleta, którą od dawna mamy w przekładzie polskim... Nie umiem pojąć motywów, które sprawiły, że poważna instytucja wyda-

nicza, jaką jest Państwowe Wydawnictwo Naukowe, podjęła decyzję przetłumaczenia i wydania drukiem dziełka pana Baschwitzy. Jeżeli wydawca pragnął zapoznać polskiego czytelnika z jakąś bardziej charakterystyczną i wybitniejszą pozycją, która by reprezentowała historiografię Niemiec Zachodnich, to trafił kulą w płot, bowiem nie jest to rzecz ani charakterystyczna dla dziejopisarstwa tego kraju, ani wybitna na tle tego, co się tam ukazuje. Pojawia się zaś bardzo wiele i nie byłoby większego kłopotu z wynalezieniem czegoś, co nadawałoby się do przetłumaczenia. Jeżeli natomiast wydawca zamierzał dać naszemu czytelnikowi do ręki dzieło omawiające problematykę czarów i czarownic w szerokiej, powszechniejszej perspektywie, które zrównoważyłoby w jakimś sensie nasze własne publikacje o tych sprawach, oparte o materiał

polski, to także trafił kulą w płot. Wybrał bowiem rzecz wcale nie najwybitniejszą, której nawet nie można porównać z rzeszycie wybitnymi pracami w tym samym przedmiocie, jakimi chwali się nauka angielska czy francuska. Na

który ma na swym koncie okazałą listę publikacji traktujących o tym właśnie przedmiocie, był w niej kimś kłopotliwym, gdy przyszło mu „dopisywać się” do dzieła Baschwitzy i wybrał z tego w sposób najlepszy, w jaki mógł to uczynić. Otóż

„Czarownice“ W PWN

Wydawca opatrzył tę książkę postawami, nie wiedząc czemu wydrukowanym na końcu tomu. Jest ono zdecydowanie... najlepszą częścią całości, wyszło spod pióra Roberta Mandrou, zaś pana Baschwitzy zastawiło w spokoju.

Edytor opatrzył tę książkę postawami, nie wiedząc czemu wydrukowanym na końcu tomu. Jest ono zdecydowanie... najlepszą częścią całości, wyszło spod pióra czarownicologa zawołanego, jakim jest dobrze znany ze swych książek Bohdan Baranowski. Polski historyk,

który ma na swym koncie okazałą listę publikacji traktujących o tym właśnie przedmiocie, był w niej kimś kłopotliwym, gdy przyszło mu „dopisywać się” do dzieła Baschwitzy i wybrał z tego w sposób najlepszy, w jaki mógł to uczynić. Otóż

Może jednak sąd to zbyt ostry. Książka Baschwitzy, niezależnie od tego, jak ją będziemy oceniali, dostarcza polskiemu czytelnikowi materiału porównawczego, który pozwoli mu lepiej zrozumieć nasze własne, polskie problemy historyczne. Im to właśnie poświęcił najwięcej uwagi w swym po-

słowi Bohdan Baranowski, zajmujący się dziejami polskich procesów o czary, historią tego nie najwspanialszego z zachodnioeuropejskich importów w naszym kraju. Konfrontacja tego, co działo się w Niemczech, w Niderlandach czy we Francji z tym, co obserwowaliśmy w Polsce, daje wiele do myślenia. I chociaż w brzmieniu jak hasło tytułu znanego dzieła Janusza Tazbira „Państwo bez stosów” jest nieco przesady, tej, którą zawiera wszak każde hasło, ocena ta dla kogoś, kto wie, jak wyglądały stosy w innych krajach, nie jest bezasadną. Sięgając więc po nie najlepszą książkę, którą obdarzyło nas Państwowe Wydawnictwo Naukowe, zaczniemy jej lekturę od końca, od postawia, które wyszło spod pióra polskiego uczonego. Może wtedy taskawszym okiem spojrzymy także... na tekst niemieckiego autora? Ja jednak rozpocząłem lekturę od pierwszych stron tego tomu...

JÓZEF GRZELAK

Ranga zawodu nauczyciela

(Dalszy ciąg ze str. 1)



Fot. I. Jarońska

ność wysoka; uczyć dzieci Ojczyzny, która jest coraz bogatsza i potężniejsza; wychowywać światłych i wszechstronnie wykształconych obywateli, którzy pomnażając dobra materialne — w przyszłości pomyślą o poprawie warunków pracy szkoły i o swoich wychowawcach.

W latach sześćdziesiątych, pomimo wydatkowania znacznych środków finansowych, zaznaczyła się wyraźna tendencja ograniczania nakładów państwowych na rozwijanie oświaty i nauki. Niezależnie od prążeń tego braku zaufania do nauki i oświaty niezaprzeczanym wydaje się fakt, iż doprowadziło to do zahamowania rozwoju dziedziny życia społecznego, słusznie pretendującej do miana wiodącej. Jak wiadomo, oddolne sygnały — zarówno te nieśmiałe jak i przejawy otwartej krytyki, podyktowane głęboką troską o sprawy nieprzeciętnej przecież rangi — nie odnosiły skutku, lub zgola nie docierały do adresata.

Podobnie jak w każdej grupie społecznej — i tu w środowisku nauczycielskim — jest wiele spraw społecznie szkodliwych, jest wiele problemów stanowiących produkt uboczny, zrodzony z procesu trwania tej społeczności i tworzenia określonych wartości, zawartych w każdym obywatelu, który zetknął się ze szkołą i nauczycielem. Dziś bodaj każdy aktywny uczestnik wielkiej rodziny — narodu polskiego — nosi na sobie wryty ślad osobowości nauczyciela. Jest to z reguły społecznie wartościowy rezultat złożonego wysiłku jednostki i zbiorowości produkcyjnej — zwanej nauczycielstwem. Widzieć w tym środowisku li tylko margines — znaczy nie rozumieć z tematu, który się podejmuje, gorzej, zajmować się krytyką marginesowych zjawisk w środowisku, o którym mowa bez uwzględnienia jego warunków pracy i bytu — znaczy celowe lub nieświadome działanie destrukcyjne, znaczy strzelanie z armat do przysłowiowego, a wychudzonego komara na twardej skórze słonia. Alłści ostatnie miesiące ujawniły — zgodnie zresztą z powszechnym odczuciem społecznym — iż polska klasa robotnicza dobrze pracuje i potrafi jeszcze lepiej pracować, ale pod kierunkiem dobrych i sprawliwych gospodarzy — organizatorów produkcji. Czyżby miało się okazać, że z oświatą i nauką ma się rzecz podobnie? Jeszcze nie padły autorytatywne zdania komisji ekspertów oceniającej to środowisko, wszelako pobieżna orientacja o rzeczach każe snuć w tym względzie optymistyczne domniemania.

Zgola mniej optymistycznym i zarazem trudnym do rozwiązania — zdaje się być ogólne położenie nauczycieli, a także młodszej i średniej kadry naukowej wyższych uczelni.

A może nauczyciele są za mało wykształceni? Na 8122 zatrudnionych w Łodzi — 15,8 proc. — ma wykształcenie średnie, 51,5 proc. — półwyższe, 32,2 proc. — wyższe. Nie uwzględniam tu nauczycieli szkół wyższych, którzy, jak wiadomo, na ogół nieźle są wykształceni i nie bódźce materialne są czynnikiem powodującym stale doskonalenie ich kwalifikacji... Bardzo nieliczne mamy w Polsce grupy zatrudnionych, mogących poszczycić się taką średnią wykształcenia. Czy są leniwi, lub mało uspołecznieni? Źródła mówią, że połowa nauczycieli jest zaangażowana w pracy społecznej. W Łodzi aż 386 nauczycieli i wychowawców wybrano do rad narodowych, władz FJN, ZMS, ZHP, LK, ZBoWiD, Tow. Krzewienia Wiedzy Powszechnej, itp.

Nauczycieli — nie mandatariuszy (również tylko w Łodzi) w różnych organizacjach społecznych jest zaangażowanych aż 2966. Ponadto 1400 osób uczestniczy w amatorskim ruchu artystycznym i działalności społeczno-oświatowej. Tak jest w mieście i nie inaczej na wsi. Tam, w dodatku, nauczyciel jest pierwszym doradcą i pomocnikiem zarówno chłopca jak i wszelkiej władzy. Niejednokrotnie jest on odrywany od pracy zawodowej kosztem osobistego czasu, życia prywatnego, do niezliczonych akcji, bez należnego nauczycielowi szacunku, wdzięczności, podziękowania. I oto ukształtował się swoisty rodzaj obyczajowości: zapomina się, co jest dobrą wolą, pracą społeczną, a co — obowiązkiem! Jaką rekompensatę otrzymuje nauczyciel za swoje nigdzie ustawowo nie określone obowiązki społeczne, które, jak wykazuje smutna praktyka, przestały być pracą społeczną? „Głos Nauczycielski” stwierdza: „Realizacja art. 25 ustawy o prawach i obowiązkach nauczycieli przez gromadzką radę wygląda często na kpiny i z ustawy i z nauczycieli”.

Nie tylko gromadzką radę narodową — dodajmy — tak swoiście pojmują prawa i obowiązki nauczycieli. Każdy nauczyciel w wielkim mieście może przytoczyć setki przykładów „wzywiania”, „pouczania”, udzielania „upomnień” i karanów z powiadomieniem władz szkolnych o „złym wywiązywaniu się nauczycieli z obowiązków społecznych” przez instancje poszczególnych organizacji, którymi wypadło nauczycielowi się opiekować na szczeblu szkoły, czyli tam, gdzie ma miejsce najprawdziwsza i autentyczna praca. W rozważaniach tych nie idzie mi o to, aby pozabawić te organizacje opiekuństwa i kierownictwa ze strony szkoły i nauczycieli. Jednakże muszą być zachowane odpowiednie proporcje, zasady i kultura zaangażowania społecznego. Towarzyszyć temu winno ponadto powszechne uznanie środowiska nauczycielskiego nie tylko deklaratywne, nie tylko nasycone czystym pustosłowiem, któremu zwykle towarzyszyło nonszalanckie poklepywanie po ramieniu.

Nauczyciel odpowiada nie tylko za proces nauczania i wychowania, ale także za bezpieczeństwo dziecka powierzzonego jego opiece. Przemawiają za tym — niestety dość liczne — sprawy sądowe przeciwko szkołom (a w konsekwencji i nauczycielom), które nie dopełniły obowiązku opieki nad bezpieczeństwem dziecka.

W miarę oddalania się od większego centrum miejskiego — ma miejsce postępująca tendencja do różnorodnych prób zamachu na pragmatykę nauczycielską ze strony powiatowych samopanków, kurezą się możliwości działania miejscowych organizacji ZNP.

Przy dotychczasowej strukturze organizacyjnej oświaty, inspektor — przedstawiciel władz oświatowych ma nieograniczone możliwości subiektywnej oceny pracy nauczyciela.

Nauczyciel poszkodowany nieobiektywną lub wręcz krzywdzącą oceną, nie znajduje w terenie żadnej pomocy w związkach zawodowych. Któż bowiem z działaczy odważy się sprzeciwić inspektorowi, skoro po skończonej kadencji wraca do szkoły i znów podlega tej samej władzy, której wcześniej odważył się odmówić poparcia? Celowo pomijam tu znaną z przeszłości niemrawość związków zawodowych.

Sprawy wzajemnych stosunków: nauczyciel — władze oświatowe — ZNP, problemy wynagrodzeń nauczycieli, ich prawa i obowiązki, są regulowane przez około dwa tysiące przepisów. Doszło do swobodnego szczytu, przy którym wszystkie zainteresowane strony, mówiące tym samym językiem zgodnie uznały, iż nie są w stanie ze sobą współdziałać, porozumieć się wzajemnie, służyć głównemu celowi, do realizacji którego zostały powołane. Ten rodzaj sprężenia zwrotnego w mechanizmie biurokratycznym skłonił władze oświaty i ZNP do skłaniania wyjścia z labiryntu ogłupiających przepisów. Tak powstał dla środowiska łódzkiego dokument zwany Aktem Uniejowskim, lub tzw. „Małą Konstytucją” — rezultatem pracy przedstawicieli łódzkiego Kuratorium i Zarządu Okręgu ZNP, który określał „zasady współpracy dotyczące rozwoju i prawidłowego funkcjonowania systemu oświatowego na terenie miasta Łodzi”. Nie wiem, jak radziły sobie inne pokrewne środowiska w kraju, jakie przedsięwzięły środki zaradcze przed załamaniem tej samobójczej „twórczości” biurokratycznej, wiem natomiast, iż ów dokument był rodzajem gestu rozpaczliwej gorzkiej wymowie, i proponował jedno z wielu możliwych wyjść z sytuacji, był też formą protestu.

Mnóstwo jest w świecie nauczycielskim powodów do gorzkiej refleksji — niekiedy pesymistycznej. Wbrew obiegowym, skrajnie pesymistycznym opiniom co do możliwości konstruktywnych przedsięwzięć szeregu związków branżowych, śmiało twierdzę, iż kadencja ich nie skończy się li tylko bezpłodnym podsumowaniem szlachetnych życzeń. Atmosfera kultury politycznej i godności człowieka pracy — sprząta odrodzeniu prawdziwych wartości.

W programie partii rozumianej w duchu VII i VIII Plenum, zawiera się też perspektywa rozwoju oświaty i nauki — niezbędne człono całego mechanizmu gospodarki i kultury Polskiej Ludowej.

WITOLD SŁOTWIŃSKI

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

☆ O SYTUACJI KULTURY — dyskusja

☆ M. KUNCEWICZOWA — Niedziela w Baden

☆ B. KUKUĆ — Ciężar kary

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Gorący dzień w El Asnam

Dalszy ciąg ze str. 5

rze, postowie na sejm, dziennikarze, ci, co zdążyli już przemierzyć samochodami najbardziej makabryczne szlaki w Alpach, Andach i górach Libanu — zamykali oczy mówiąc, że czegoś takiego jeszcze nie widzieli, a kobiety wpadły w histerię i krzyczały: wolniej! do Alego, który był przecież najlepszym kierowcą świata, ale też za-

czął się denerwować, nie znając drogi i jej kresu. Krążyła awiomaryna i krople nasercowe. Czulem ból uszu. Ktoś tłumaczył, że trzeba wrócić, ale o tym nie mogło nawet być mowy, gdyż nie było miejsca na manewry, a droga ciągle się zwężała. I wtedy pojawił się nagle samochód żandarmerii. Zatrzymali nas, wylegitymowali. „Polonia, Polonia” — powtarzali przyjaźnie i zgodzili się

pilotować Alego, choć w zasadzie zaporą jest tajemnica i nie wolno jej fotografować.

Skosiliśmy jeszcze kilka zakrętów, mijając kamienny tunel o potężnym sklepieniu i nagle zobaczyliśmy w dole, pomiędzy grzbietami gór, ową zaporę: morze, które ma dziewięć kilometrów kwadratowych i w którym gromadzi się najcenniejsza rzecz — wodę z naturalnych opadów, używającą ziemię w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Wydawała się bliska, a jazd był stromy, więc wysypaliśmy się z autokaru, zniszczeni upalem i pragnieniem, i zaczęliśmy schodzić w dół, a ona ciągle się oddalała. Coraz bardziej zostawałem w tyle i na trzecim zakręcie upadłem. Podszedł wiołacy się na końcu lekarz, zbadał mnie

mówiąc, żebym odpoczął, a on pójdzie nad zaporę i przysię kogoś z kropkami i wodą. Posadził mnie w mroku pod ścianą, która parzyła plecy i po chwili zostałem sam, nie wiedząc, czy autokar jest na gorze, czy na dole, i czy będzie wtedy wracał, i poczułem się tak, jak wtedy w Błidzie, kiedy o minutę za długo zostałem w arabskiej knajpie, zafascynowany grającymi w kości ludźmi w zawojach, i wychodząc zobaczyłem, że autokar odjechał: otoczył mnie kordon arabskich chłopaków; wskazyjąc na Chreć tłumaczyli, że właśnie tam ruszył niebieski wóz, ale że mogą go dogonić, są przecież taksówki. Zawiedli mnie na postój, pożyczili papier i długopis, abym mógł się w ten sposób targować z szofe-

rem, który w pierwszej chwili chciał dziesięć dolarów, a później tylko sześć, a jeszcze później, jak zatankował benzynę i wjechał na pierwszą serpentynę, znowu chciał dziesięć, bo to przecież trzydzieści kilometrów, kawał drogi. Ale mieliśmy szczęście i złapaliśmy autokar na piętnastym kilometrze. Wtedy wręczyłem mu za pół kursu równowartość sześciu dolarów. On wtedy zaczął przeklinać, ciskając mi w twarz papier i pieniądze, i zawrócił wrzeszcząc: żandarmeria! żandarmeria! I znowu zaczęliśmy oddalać się od autokaru, więc czym prędzej dołożyłem mu końcówkę, a on uśmiechnął się szeroko, klepnął mnie w plecy i razem pozowaliśmy do zdjęcia jednemu z domorosłych fotografów.

Uspokoiłem się trochę.

Czekając na wodę i krople myślałem o jesiennej Polanicy i o śniegu w Tatrach, i o basenie na Antaliowie, gdzie są ciepłe źródła i gdzie w styczniu tego roku, podczas sześciostopniowego mrozu, kąpałem się ze Zbyszkim Wojciechowskim pod kopułą chmur, z których wystawał krzyż Giewontu.

A później myślałem o kole-dze, który wyjechał z Polski, rolując mnie jak durnia. Podobno będzie współpracował z filmem. Więc że się stało, że opowiedziałem mu swój pomysł na scenariusz. A jak buchnie? Nie bawi się przecież w skrupuły. Wiem! Jak wrócić do Łodzi, napisać reportaż pod tytułem „Gorący dzień w El Asnam” i streszczać w nim krótko-

INTERES WŁASNY CZY SPOŁECZNY

Niedawno „przeegzaminowa-
no” w Łodzi kierowników
kilkunastu budów, a są to
budowy-widma. „Dom Chłopa”,
czyli gmach WZGS przy placu
9 Maja, Spółdzielczy Dom Handlo-
wy przy Piotrkowskiej, Zakłady
Graficzne przy Armii Czerwonej,
Biuro Projektów Włókien Sztucz-
nych przy Uniwersyteckiej, Cent-
ralne Laboratorium Przemysłu
Dziewiarskiego przy 8 Marca,
„Biprowłók”, itd. Był to egzamin
jedynie ustny. Kierownicy i dy-
rektorzy przedsiębiorstw, budują-
cych te obiekty, mówili, ale to
były tylko słowa. Najważniejszą
przebiegłą przyczyną ciągnięcia się przez
długie lata budowy tych gmachów
jest, ich zdaniem, niedostatek mo-
cy przerobowej przedsiębiorstw.
— A kto ma za was zwiększać
moce? Na to pytanie nie było od-
powiedzi. Nie było, bo zabrakło
tego, co nazywamy poczuciem o-
bowiązku i osobistym stosunkiem
do pracy. Gdyby pomyślano o
zwiększaniu mocy produkcyjnych
już kilka lat temu, jakieś sposoby
musiałyby się znaleźć i dziś nie
byłoby w mieście problemu gmachów-widm.

Idealnie jest wtedy, gdy interes
społeczny jest również interesem
własnym, osobistym. W praktyce
istnieje wiele odchyłań od idealu.
Na pewno, na przykład, bardziej
opłaca się projektantowi doku-
mentacja tzw. oryginalna, niż
adaptowana, więcej otrzymuje się
za rysunki o wadze kilograma
czy dwóch, niż za cienki zeszyt.
Nawet jeśli inwestorowi się spieszy
z budową, jeśli dokumentację
chciałby mieć „na wczoraj”, bo to
interes produkcji nowego zakładu,
interes społeczny, bo ludzie czeka-
ją na mieszkania, a dzieci na
szkoły — nawet wtedy projektant
z pilnością godną lepszej sprawy
będzie rysował wszelkie potrze-
bne i niepotrzebne szczegóły, że-
by na wagę było więcej.

Odpowiedzialny dyrektor ze
zjednoczenia budowlanego „Cen-
trum” z ubolewaniem mówił dwa
tygodnie temu, że dokumentację
adaptowanych, przystosowanych
do potrzeb inwestora, ale zacier-
niętych z praktyki, sprawdzonych
zresztą w swej funkcjonal-
ności, jest w naszym kraju tylko
6 proc., a 94 proc. stanowią pro-
jekty niby „oryginalne”, a w za-
sadzie tylko pracochłonne i koszo-
wne. Gdy czasu mało, warto
przypomnieć, że decydować będzie
również osobisty — zaangażowany
stosunek biur projektowych do
dzieła, któremu na imię Program.
W osobistym, zaangażowanym
stosunku do zadań jest także
miejsce na swobodę twórczą, bo
projektować, a więc tworzyć no-
we wartości trudno na komendę.
Pewien dyrektor przedsiębior-
stwa relacjonował mi swe wrażeń-
nia z wizyty na realizowanej

przez niego budowie. Jest to je-
den z najbardziej reprezentacyj-
nych dla Łodzi obiektów i dyrek-
tor zajął na tę budowę niemal
codziennie, choć ma w mieście
kilkadziesiąt innych. Na tej budo-
wie w godzinach przedpołudnio-
wych znalazł na jednym z pięter
dwóch „braci śpiących”, dwóch
pracowników, o których zapomniał
brigadzista, zapomniał maj-
ster. Ludzie spali i nikt ich nie
budził. Może nie zauważono ich
braku, chociaż budownicowie
swe kłopoty na budowach naj-
chętniej tłumaczą brakiem prac-
owników. Odkryto ich dopiero
w czasie wizyty dyrektora przed-
siębiorstwa. Nie znam skutków
tej śpiączki na budowie, warto
dodać, że ludzie ci nie byli nie-
trzeźwi.

Wiele jeszcze trzeba zrobić dla
rozbudzenia świadomej dyscypliny
społecznej. Poczucie tej dyscypli-
ny zaczyna się od szacunku dla
pracy. Wiemy, że nie jest z tym
najlepiej, bo przez lata całe w
budownictwie nie było czasu na
wychowywanie, zatrudniano każ-
dego, kto się nawinął, bo plany
i zadania rosły szybciej, niż moż-
liwości oddziaływania na czło-
wieka, bo znaczną część nowych
ludzi, których wchłonęło budow-
nictwo, pochodziła z małych o-
środków miejskich i wiejskich,



lub z warsztatów, gdzie zjawisko
dyscypliny, rytmu zorganizowanej
i wydajnej pracy jest i było nie-
znane. Więc ci ludzie przez dłu-
gie lata nie przejmowali się wy-
mogami, stawianymi przez współ-
czesną organizację pracy, kiedy

chcieli, robili sobie urlopy, by
przekopać ziemię pod wczesne
warzywa, posadzić trochę kartofli,
czy pomóc sąsiadowi przy żni-
wach za 200 złotych dziennie, plus
wyżywienie. Nie zwalniano ich z
pracy, choć psuli harmonogramy
robót na każdej budowie. Bo nie
było innych na ich miejsce. Nie
działa jeszcze na budowlanym
rynku pracy konkurencja, nie
bierze się najlepszego z trzech
zgłaszających się tynkarzy, bierze
się wszystkich trzech, choć naj-
częściej co najmniej jeden z nich
jest pracownikiem budowlanym z
przypadku.

Ale pierwsze jaskółki poprawy
już się pojawiły. Wkrótce po roz-
luźnieniu w Łodzi przepisów mel-
dunkowych, umożliwiających po-
byt stały lub czasowy wielu fa-
chowcom i specjalistom spoza
miasta, nadeszły pierwsze zgło-
szenia. Ponad 300 chętnych zgło-
siło się do pracy w łódzkim budo-
wnictwie. Są to ludzie ze wszyst-
kich stron kraju, chcą związać
swą przyszłość z Łodzią i zapytu-
ją jedynie o to, czy znajdzie się
dla nich miejsce w hotelu robot-
niczym. Blisko połowa to rzem-
ieśnicy określonych zawodów,
bardzo pożądanym w każdym
przedsiębiorstwie budowlanym.
Należy się spodziewać, że dopływ
nowych ludzi, którzy istotnie
zwiążą się z zawodem — podziła
wychowawczo na nadużywających
przymusową sytuację kadrową
łódzkiego budownictwa. Nowi ty-
nkarze, murarze, zbrojarze pomogą
jednocześnie w procesie stabiliza-
cji załóg budowlanych, tak waż-
nym w każdej organizacji ze
względu na efekty pracy jak i na
dobry klimat na budowie.

Pomogą niewątpliwie również
pociągnięcia natury technicznej, a
przed wszystkim dalszy postęp
w technologii budowlanej, ograni-
czającej zakres robót ciężkich, fi-
zycznych. Takie są zresztą zamie-
rzenia Łódzkiego Zjednoczenia
Budownictwa. Bez lepszego do-
zbrojenia budów w nowoczesny
sprzęt byłoby trudno realizować
tak dynamicznie rosnące zadania
jak te, które zawarte są w Pro-
gramie modernizacji Łodzi.

Problemem podstawowym jest
zaopatrzenie w materiały budo-
wlane.

— Pracujemy ciągle na styku
— słyszałem w jednym przed-
siębiorstwie. Dosłownie jest tak,
że gdy kończy się układać ostatni
metr klepki parkietowej, to nie
ma roboty dla parkieciarzy, bo
następny transport klepek przy-
jdzie nie wiadomo kiedy, chociaż
powinien dawno już być na miej-
scu. I tak jest prawie ze wszyst-
kimi materiałami budowlanymi.
I mówiono o szarpaninie ner-
wów z tym związaną, o łamaniu
się harmonogramów, zawałaniu
terminów. Dlaczego dostawy ma-
teriałów nie wyprzedzają robót
budowlanych? W dyskusji przed-
siębiorczy temat: zaopatrzenie bu-
downictwa w niezbędne materiały
powtarza się tak samo często, jak
wśród załóg fabryk włókiennic-
zych sprawa części zamiennych.

Żeby można było wreszcie sku-
tecznie walczyć o jakość w bu-
downictwie — nie wystarczy
przeszkolić ludzi na kursokonfe-
rencjach, potrzebne są jeszcze in-
ne warunki. Np. czas kierownika
budowy. Powinien on mieć nieraz
w ciągu dnia okazję do zajęcia
się jakością wykonywanych ro-
bót przez poszczególnych rzem-
ieśników, powinno uwolnić się
go od zbędnej nerwowości, lęku
o dostawy materiałów.

Oprócz stabilizacji załóg rów-
nie niezbędne dla rytmicznej, do-
brej jakościowo pracy na budo-
wie jest zaopatrzenie materiałowe.
Materiały powinny czekać na
fachowca, a nie fachowiec na ma-
teriały.

Z WOLEJA

FILOZOFIA KALEGO

„Jak Kall komuś zabrać kro-
wę, to być dobrze. Jak ktoś
Kalemu zabrać krowę, to być
złe”. Dawno już nie powraca-
łem do ulubionej ongiś w dzie-
cinstwie książki „W pustyni i w
puszczy” i chyba miłośnicy tej
powieści wybaczą mi ewentual-
ne błędy w przytoczeniu na
wstępie cytacie. Termin „fi-
lozofia Kalego” utarł się wśród
filietonistów i chyba nie ko-
rzystam z niego pierwszy. Nie-
mniej jednak owa filozofia
czarnoskórego bohatera powie-
ści znajduje wielu zwolenników
w naszym życiu codziennym, a
szczególnie w życiu sportowym.

Zacznę tu może swoje dywa-
gacje od słów świętego oburze-
nia, które z reguły podnosi lo-
kalna prasa w związku z pró-
bami kaperowania do „innych
miast zawodniczeki czy zawod-
nika. Czarne czcionki gazet aż
się wiją z oburzenia, zda się,
że za chwilę staną się one
czerwone ze złości i pękają z
oburzenia. „Wstrętne kaperow-
nictwo” jest najsłabszym sformu-
łowaniem używanym przez
piszącego. Bo jak ktoś Kale-
mu...

Tymczasem jedenaste piłkar-
skiej miejscowego klubu zabra-
ło lewoskrzydłowego. Rzecz
to straszna i nie życząc tego
żadnemu klubowi. Wobec po-
wyższego działacza opiekujący
się ową drużyną, rozpoczynają
poszukiwania w całym kraju i
na drugim jego krańcu znajdu-
ją odpowiedniego zawodnika. Po
pewnym czasie w miejscowej
prasie ukazuje się notatka, z
której wynika, że wreszcie po
wielu staraniach ze strony
działacza zawodnik X zmienił
barwy klubowe i w najbliższym
czasie zasili miejscową druży-
nę. Bo jak Kall komuś...

Ostatnio wyczytałem w któ-
rejś gazet dosyć dziwne sło-
wa oburzenia. Autor oburzał
się na władze sportowe War-
szawy, że nie podają do wiado-
mości publicznej powodu znik-
nięcia ze składu jednej z czo-
łowych drużyn piłkarskich kra-
ju, dwóch zawodników. Z tre-
ści artykułu wynika, że stało
się coś brzydkiego, co klub ukry-
wa, wynika także, że autor do-
skonałe wie o co chodzi. Dla-
czego więc u licha tego nie
napisał? Rzecz przecież miała
miejsce w Warszawie i filozofia
Kalego na to zezwalała.

Tymczasem w rzeczonym mie-
ście dwie zawodniczki miejsco-
wego klubu popełniły wykro-
czenie o podobnym charakte-

rze jak ich warszawscy kole-
dzy. Jedną z nich zresztą klub
zawiesił. Dlaczego więc autor
nie zawołał gromkim głosem
„co się dzieje z panią Y”.
Nie mógł tego zrobić, gdyż nie
zezwałała na to rzeczona filo-
zofia.

Na bolsku ktoś kopnął nie-
chęcą naszego piłkarza, mo-
że nawet zrobił to umyślnie.
Miejscowi kibice są oburzeni.
Gwizdom i krzykom nie ma
końca — kopnął przecież „na-
szego”. Za chwilę biedny po-
szkodowany postanowił odpla-
cić krzywdzicielowi pięknym
za nadobne i silnym kopnię-
ciem uszkodził mu nogę. Tym
mily. Tym działa według filo-
zofii bardzo wygodnej i prak-
tycznej.

Owa filozofia wyznawana
przez następców Kalego nie
jest chyba wytworem warun-
ków sportowych, chociaż szeroko
w sporcie jest kulturowa-
na. Oto przykład wydarzenia,
którego niedawno byłem
świadkiem. Wyglądając przez
okno na podwórce widziałem
jak jeden małeć okłada pię-
ściami drugiego. Cóż, i wśród
najmłodszych istnieją konflik-
ty. Nad nimi stał spokojnie oj-
ciec bijącego i zainteresowa-
niem przyglądał się przebiego-
wi walki. Nie, nie mówił do
synka „nie bij tak mocno, bo
sobie pokaleczysz rączki”. To
był porządny człowiek. Kiedy
jednak bity otrząsnął się z
pierwszego wrażeńia i zaczął
całkiem nieźle oddawać, w ta-
tusi obudziły się ojcowskie
uczucia, rozdzielił obu chłop-
ców, wziął synka za rękę i
spokojnie odeszli.

Wróćmy jednak do sportu.
Tutaj jednostronne stawienie
wszelkich rozstrzygnięć i wyni-
ków jest oczywiście odpowied-
nie uwarunkowane. Przecież
kibice oklaskują zespół, który
cieszy się ich sympatią i po-
chodzi z ich miasta, dzienni-
karz piętnujący kaperowników
też chce dobra swojego
okręgu. Wydawałoby się, że
wszystko jest w porządku.
Zbyt często jednak zatracą się
poczucie obiektywizmu. Z regu-
ły przecież nie widzimy, że to
co czynimy z korzyścią dla
siebie, wychodzi na niekorzyść
innym. Zawsze jednak zauwa-
żamy swoją krzywdę, chociaż i
ona może taką znów krzywdą
nie jest?

MIECZYSLAW STOLARSKI

ko swój zamysł, znany już zre-
szta paru ludziom. To się dzie-
je w podobnym jak tu krajo-
brazie, ale nie ma wody, tylko
miasteczko, i nie w Afryce,
lecz w Kalifornii. Dwóch szery-
fów skumanych z gangsterami,
dwie knajpy, dwa burdele i
burmistrz, który ciągnie z te-
go zyski. Skorumpowana spo-
łeczność żyje jednak spokojnie.
Zadnych burd. Bandyci chodzą
na łowy do innych miast, a tu,
z dala od wszelkich węzłów ko-
munikacyjnych, przyjeżdżają
tylko odpoczywać i wydawać
pieniądze. Lecz nagle, w szcze-
lniach skalnych, pojawiają się
obecni ludzie. Jak tu trafił? Po
co?... Ci z miasteczka czują
niepokój, bo obcych — dłu-
gowłosych, uzbrojonych w noże i
gitary — jest coraz więcej. I
są coraz bezczelniejsi. Z począt-

ku śpią tylko na progach do-
mów. Później zaczynają rabu-
nek. Burmistrz próbuje zawi-
domić policję stanową, ale cen-
trala telefoniczna jest zdemo-
lowana. Długowłosi rozwaliłi
także telegraf, zniszczyli wszy-
stkie samochody, odcinając
miasteczko od świata. Pozostał
jeszcze stary lotnik i samolot
z demobilu, ale kiedy otworzo-
no hangar, zobaczono wyrwane
śmigło i potrąskane skrzydła.
I tu następuje przetworzenie mi-
tu o szczołapie. Zjawia się
chłopak, ale nie z fletem, lecz
z trąbką, i mówi, że za sto ty-
sięć dolarów wyprowadzi ho-
łotę z miasteczka. Powątpiewa-
jącemu burmistrzowi i rajcom
miejskim demonstruje siłę swe-
go tonu, co wywołuje wśród
długowłosych niebyszące po-
ruszenie. Jedni zaczynają tań-

czyć, inni akompaniować trę-
baczowi na gitarach. Więc bur-
mistrz przyjmuje warunki, a
trębacz wyprowadza o świcie
na ślepa drogę tłum wyzwo-
leńców, wśród których docho-
dzi do różnych starć, mordów i
gwałtów. Potem wraca po na-
grode, lecz burmistrz nie chce
dotrzymać słowa. Zamiast stu
tysięcy ciska mu jednego do-
lara. Więc trębacz jeszcze raz
pokazuje siłę swojego tonu,
wyprowadzając na drogę do ni-
kad wszystkich mieszkańców
miasta. Pierwsza podąża za nim
gluchoniema córka burmistrza, i
kiedy tłum wchodzi w Dolinę
Smierci, właśnie ona przelista-
cza się w anioła zemsty, ro-
biąc swoim współplemieńcom
wielkie kuku.

Jest to, oczywiście, alegoria,
temat, z którego dobry reżyser

mógłby upltrasić sto aluzji do
morderstwa Kennedy'ch, narko-
manii, rewolucji seksualnej i
Bóg wie czego. Jeśli streszczę
to w „Odgłosach” — myślałem
— będę miał dowód czarno na
białym, że to moje, i w razie
czego wytoczę proces każdemu
producentowi.

Nagle usłyszałem swoje imię.
Ktoś dotknął mnie ręką do
twarzy.

Dostałem kroplę, a później długo,
długo piłem z bityna ciepłą
wodę. Jakaś kobieta krzychała
histerycznie, że nie chce wracać
autokarem. Jej płacz ściągnął
żandarmerię. Uspokajali ją
ciężymi głosami tak, jak uspokaj-
ja się zszokowane dzieci. Jeden
z nich podszedł do mnie i
sprawdził czy to, co trzymam
na piersi, nie jest, przypad-
kiem, granatem.

— To bidon — powiedziałem.
— Aha — powtórzył. — Bi-
don.

Wnieśli mnie do szoferki swo-
jego samochodu i zjechaliśmy
nad zapórę, gdzie trwał nie-
przerwany amok. Ludzie w ko-
szulach, spodniach, sukienkach
rzucali się pod strugę wody z
gumowego węża, tłocząc się,
śmiejąc, przepychając.

Zandarm, który trzymał mnie
troskliwie w pół, wywalczył ja-
koś miejsce i zostałem dokład-
nie wykąpany. Potem wsadził
mnie do autokaru.

— Podziękuj! — krzyknęli lu-
dzie.

Nie mogłem wydobyć głosu.

— W porządku — powiedział
i odszedł, i do dziś trapi mnie
myśl, że nie potrafiłem wyrazić
moje wdzięczności. A potem, pi-
lotowani przez żandarmerię, wio-

zących tę zszokowaną kobietę,
ruszyliśmy w drogę powrotną
i kiedy po dwugodzinnej jeź-
dzie znaleźliśmy się w El
Asnam, poszedłem spać bez ko-
lacji.

Tak, wczoraj było dużo go-
rzej.

Teraz, siedząc pod murem
białego miasta, czekam na au-
tobus do Oranu. Patrzę na koty
stroszące się w zaulkach i psa
o wychudzionym grzbiecie. Uli-
cami krąży jak widmo policyj-
ny łazik i ci w środku poca się
obficie. Powaleni upałem ludzie
napawają mnie udręka.

Jest źle. A przecież za dwie
godziny, kiedy zbliżymy się
do morza, w oknach samocho-
du pojawi się chłodniejszy po-
wiew. Poczuję wilgoć i odzy-
skam wiarę w życie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

NIE PRYZYWCZAJĄC SIĘ

W poczęciu redakcyjnej przyszedł niedawno list od „Herbapolu”. List ten jest odpowiedzią na mój felieton, w którym pisałam o dwa lata trwającym braku popularnego leku zwanego Raphacholiną. Jego niedostatek spowodowany jest trudnościami z uzyskaniem przez „Herbapol” importowanego składnika — kwasu dehydrocholowego. Wyraziłam powątpiewanie czy istotnie niezbędne są oszczędności na takim właśnie specyfiku. „Herbapol” nadesłał długie wyjaśnienie, którego ze względu na rozmiar nie jesteśmy w stanie opublikować. Zacytuje więc tylko fragmenty:

„Raphacholin należy do tych leków, które w ostatnim 10-leciu zrobiły zawrotną karierę z racji swej skuteczności oraz powszechnego występowania dolegliwości wątrobowych. W skład jej wchodzi trzy zasadnicze składniki: wyciąg z czarnej rzodkwi, olejek miętowy i kwas dehydrocholowy. Dwa pierwsze składniki produkuje przemysł zielarski we własnym zakresie, trzeci pochodzi z importu, wobec czego zakup uzależniony jest od przydziału dewiz. Niestety, kwota dewiz przydzielona na ten cel jest przy dynamicznie wzrastającym zapotrzebowaniu na Raphacholinę już od 4 lat za mała i wszystkie nasze zabiegi o gestora tej puli dewizowej, tj. Zjednoczenia Przemysłu Farmaceutycznego POLFA nie odnoszą pożądanego skutku. Brak kwasu dehydrocholowego jest od dwóch lat jedynym powodem, dla którego „Herbapol” nie jest w stanie w pełni pokryć potrzeb zgłaszanych przez CEFARM — praktycznie produkcja stanowi zaledwie 60 procent tych potrzeb.

Zdaniem „Herbapolu”, jeśli Raphacholina zdobyła takie uznanie w lecznictwie, że jej potrzeby kształtują

się na wyższym poziomie niż produkcja mimo jakiegokolwiek z naszej strony reklamy i propagandy u lekarzy, farmaceutów i w społeczeństwie, to lekowi temu należałoby nadać rangę priorytetu przy rozdziale puli dewizowej, dokonywanym przez Zjednoczenie POLFA przy udziale przedstawicieli departamentu farmacji, a więc przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, które jest przeciw odpowiedzialne za prawidłowe zaopatrzenie społeczeństwa w leki”.

Otóż dokładnie o to samo mi chodziło. Nie miałam zamiaru w moim felietonie atakować „Herbapolu”, który darzę szczerą (i wcale nie bezinteresowną, bo robi dobre leki) sympatią i nie „Herbapol” obciążałam za powstanie „czarnego rynku” na ten lek, ani za to, że znajduje się on w drogeriach i perfumeriach — za pełną cenę. Ale odpowiedział mi „Herbapol” i tylko „Herbapol”, choć odpowiedź należało się spodziewać od POLFY, która praktycznie nie za brak leku jest odpowiedzialna. Niestety, często u nas odpowiedzi udziela ten, kto nie może niczego wyjaśnić. Tak się i tym razem stało.

„Herbapol” informuje także, że rozpoczęto produkcję leku zastępczego Raphalamid, który ma na celu zmniejszenie deficytu Raphacholiny. Będziemy więc mieli środek zastępczy. Nie po raz pierwszy zresztą i nie ostatni. Weźmy dla przykładu naszą chemię kosmetyczną i gospodarską. Jestem zwolenniczką polskich kosmetyków, uważam, że polskie kremy są wcale nie gorsze od zagranicznych. Ale niech no ktoś spróbuje przyzwyczaić się do jakiegoś kosmetyku. Będzie miał życie (prywatne) wypełnione bieganiami i szukaniem. Przyzwyczaiłam się na przykład do kremu F-18, ale wkrótce zaczęły się z nim

„trudności”. Więc przestałam się na krem „Z”. Ale wkrótce też zaczęły się trudności. Nie napiszę na jakie przestawiłam się teraz, bo znowu może zabraknąć. Podobnie jest ze środkami do gospodarstwa domowego. Chciałabym wiedzieć dlaczego od dłuższego czasu nie można dostać popularnego „Skrzata”. Czy dlatego, że już wiele osób przyzwyczaiło się do niego? Wolę zresztą nie pytać. Mogę znowu usłyszeć o trudnościach dewizowych, przerobowych, materiałowych itp.

Zresztą, może zaniechanie produkcji jest uczciwsze, niż jej kontynuowanie na siłę. A tak robią niektóre wytwórnie i fabryki. Był np. „Ewik” znakomicie czyszczący szyby, lustra itp. Brakowało go dłuższy czas, a teraz jest znowu. W nie-

ograniczonych ilościach, tylko, że nie nadaje się do użytku, bo zamiast czyścić, brudzi. Produkuje go niejaka „Libella”. Podobnie jest zresztą z perfumami. Tylko pierwsza seria danej nazwy jest na ogół podobna do siebie. Następna, poza nazwą niczym pierwowzoru nie przypomina. Z „Być może” robi się „Nie może być”, z „Czarnego kota” „Kot na puszczy” itd.

I to wcale nie dlatego, że nasi producenci nie wiedzą, że tak nie wolno robić. Wiedzą doskonale, czego przykładem jest krem „Nivea”, który od lat ma ten sam zapach i jakoś zapewne dlatego, że sprzedaliśmy paru krajom licencję i nie wypada nam partaczyć. Nasi producenci po prostu lekceważą klienta według zasady: i tak kupią, bo jest mało. I ludzie kupują to co jest, a nie to czego by chcieli.

Bo u nas, jeśli coś zdobywa uznanie klientów i popularność, to natychmiast znika ze sklepów. Akurat odwrotnie, niż na parsywym Zachodzie, gdzie jak tylko wywachają popularność jakiegoś artykułu, to zaczynają go produkować na potęgę i robią na tym duży byznes. U nas można pozgrzytać zębami. A propos — niech łodzianie nie myślą, że dwutygodniowy brak zwykłej pasty do zębów w sklepach był spowodowany brakiem tubek, albo innych artykułów deficytowych. Nic podobnego, po prostu był rewanż w magazynie.

Jedyna rada — nie przyzwyczajać się.



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Dni Filmu Radzieckiego obchodzimy w tym roku po raz 25-ty, a więc jest to impreza jubileuszowa. W ciągu tych lat ongi Miesiące, obecnie Dni Filmu Radzieckiego, należały do największych imprez filmowych, przygotowywanych szczególnie starannie. Jak to zwykle bywa, bywały Dni bogate w wydarzenia artystyczne, bywały i skromne, nie zadowalające miłośników X Muzy, ot, powszedni dzień każdej kinematografii.

Warto chyba w dniach jubileuszu przypomnieć kilka z owych wydarzeń. — choćby dzień premiery w roku 1957 filmu G. Czuchraja „Czterdziesty pierwszy”, filmu, który zapowiedział czas wielkiej odnowy filmu radzieckiego czy rok wielkiego canneńskiego triumfu filmu M. Kalatozowa „Lecą żurawie”. Po dziś dzień film ten należy do najbardziej przez polską publiczność cenionych pozycji światowej kinematografii. Grigorij Czuchraj był

przez wiele lat faworytem naszej publiczności, bohaterowie jego filmów: „Ballada o żołnierzu” i „Czyste niebo” byli bliżej naszym doświadczeniom i przeżyciom, były filmy o naszych wspólnych sprawach.

Dzień powszedni i refleksje o postawach współczesnego człowieka odnajdywaliśmy w filmach, których się nie zapomina — od skromnego, lecz jakże pięknego „Domu w którym żyjemy” L. Kulidzanowa i J. Segela wiodła droga do „Dziewięciu dni jednego roku” M. Romma, „Dziennikarza” S. Gierasimowa, „Twojego współczesnego” J. Rajzmana, oglądaliśmy „Letni dzień” i „Mam dwadzieścia lat” M. Chucijewa, „Trzy dni Wiktora Czernyszewa” M. Osepiana i bodaj najlepszy film roku 1971 na naszych ekranach — film G. Panfilowa „Początek”. Z tej grupy filmów w bieżącym roku na uwagę zasługuje „Dworzec Białoruski” A. Smirnowa.

Przypominając premiery z Dni Filmu Radzieckiego, wspomnijmy przede wszystkim, jakie towarzyszyły naszym odkryciom radzieckich kinematografii narodowych: ukraińskie „Cienie zapomnianych przodków” S. Paradzanowa, czy litewski film „Nikt nie chciał umierać” V. Zalakiaviciusa. Ambitną tradycją radzieckiej kinematografii były i są, zawsze mogące liczyć na swoją publiczność, adaptacje wielkiej literatury, a więc m. in. „Wojna i pokój” w reżyserii S. Bondarczuka, „Anna Karenina” A. Zarchie-

go, „Idiota” i „Bracia Karamazow” I. Pyriewa, „Hamlet” i w tegorocznych Dniach pokazywany „Król Lear” G. Kozincewa.

Wielki temat kina radzieckiego — rewolucja i wojna domowa powracał na nasze ekrany wraz ze wznowieniami klasyki z „Pancernikiem Potiomkinem” i „Październikiem” S. Eisensteina na czele, ale także z propozycjami zupełnie nowych ujęć, takich, jak w filmie G. Panfilowa „Trzeba przejść i przez ogień”, czy choćby w oczekującym na premierę „Szczęście Anny” J. Rogowa. Czasy ostatniej wojny znalazły swój wyraz w obrazach jednostkowych ludzkich dramatów w takich np. filmach, jak „Lecą żurawie” Kalatozowa, „Dziecko wojny” A. Tarkowskiego, czy „Losie człowieka” S. Bondarczuka, w wielkich epopejach typu „Wyzwolenie” J. Ozierowa, czy we wstrząsającym dokumencie „Zwyczajny faszyzm” M. Romma.

Niektóre premiery („Szczęście Anny” i „Plac Czerwony”) tegorocznych Dni już sygnalizowaliśmy. Dziś uwaga kilka o filmie Michała Kalatozowa „CZERWONY NAMIOT”, zrealizowanym w koprodukcji z kinematografią włoską i w międzynarodowej obsadzie aktorskiej z Peterem Finchem, Sean Connerym i Claudią Cardinale na czele. Film przedstawia tragiczne dzieje włoskiej wyprawy polarnej, która na sterowcu „Italia” ruszyła w roku 1928 pod do-

wództwem gen. Umberto Nobilego na zdobycie Bieguna Północnego. Tak się zdarzyło, że w roku bieżącym „Czerwony namiot” jest trzecim filmem poświęconym tym dramatycznym wydarzeniom. Dwa pokazała nam telewizja polska — jeden fabularny, drugi dokumentalny. W tej konkurencji, zdaniem moim, zwycięsko wyszedł ów czechosłowacki dokument zrealizowany przy współpracy prof. Behouneka, jednego z uczestników wyprawy Nobilego. Był to film najautentyczniejszy, w nim właśnie dramatyzm zdarzeń był najpełniejszy. Filmu Kalatozowa, zrealizowanego z rozmachem, efektownego, stawiającego niewątpliwie ciągle jeszcze aktualne pytania o sens wyprawy, o racje decyzji i postaw jej uczestników, nie można, niestety, uznać za sukces tego doświadczonego reżysera. Straszliwym nieporozumieniem wydaje się ów seans duchów zmarłych uczestników wyprawy, stanowiący ramę i nic dramatyczną całość opowieści. Ten niefortunny pomysł obniża rangę myślową filmu i po prostu śmieszy. Nie wiemy, czy wprowadzony do filmu wątek romansowy, jest haraczem płaconym koprodukcji, wiemy natomiast, że jest nam zupełnie niepotrzebny. Nie potrafimy polecić filmu Kalatozowa jako filmu godnego uwagi, choć na pewno spełnia warunki kina komercyjnego. Do innych premier tegorocznych Dni jeszcze powrócimy.

EWA NURCZYŃSKA



Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

**PABLO NERUDA
LAUREATEM
NAGRODY NOBLA**

Pablo Neruda (ur. 1904, prawdziwe nazwisko: Nef, tail Ricardo Reyes Basualto) wybitny poeta chilijski piszący w języku hiszpańskim otrzymał ostatnio Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

W roku 1924 wydał „Veln, te poemas de amor y una canción desesperada” (Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpacz), zdobywając rozgłos i uznanie. W roku 1933 ukazuje się jego zbiór wierszy „Pobyt na ziemi” rezultat podróży po Dalekim Wschodzie, gdzie przebywał jako konsul Chile. Jest następnie konsulem swego kraju w Buenos Aires, potem w Hiszpanii, gdzie przyjaźnił się z tak wybitnymi poetami jak Garcia Lorca i Alberti. W roku 1938 wydaje tom wierszy będący hymnem na cześć żołnierzy Republiki Hiszpańskiej „Hiszpania w sercu”. Po zwycięstwie gen. Franco, Neruda opuszcza Hiszpanię przebywając we Francji jako konsul Chile. Na tym stanowisku pomaga uchodźcom z Hiszpanii. W latach 1941-44 jest konsulem w Meksyku. Po powrocie do Chile zostaje wybrany senatorem z ramienia Chilijskiej Partii Komunistycznej. Gdy w jego kraju szerzy się terror wobec sił postępowych, Pablo Neruda wyjeżdża do Meksyku gdzie pracuje nad dziełem „Pieśń powszechna”. Po ustaniu terroru wraca do Chile w roku 1953. W tym też roku otrzymuje Międzynarodową Leninowską Nagrodę Pokoju.

Obecnie Pablo Neruda jest ambasadorem Chile we Francji. Po roku 1950 opublikował między innymi następujące dzieła poetyckie: „Fale i wiatry”, „Ody elementarne”, „Nowe ody elementarne”.

**MOSKWA
DOSTOJEWSKIEGO**

Pod takim tytułem G. Flodorow zamieszcza w czasopiśmie „Litteraturnaja Gazieta” interesujące szczegóły związków Dostojewskiego z Moskwą. Na ogół uważa się, że niemal całokształt życia i twórczości pisarza związany był z Petersburgiem, toteż tym ciekawsze są badania Flodorowa. Odnalazł on w Moskwie dom Kumanina, wuja Flodora Dostojewskiego. Obecnie w domu tym jest biblioteka. Budynek został przebudowany, ale dolne piętra nie uległy przeróbce i znajdują się w tym samym kształcie jak za czasów Kumanina. Pod Moskwą jest też dawny dom Kumaninych, który G. Flodorow dokładnie zwiędził. Flodor Michajłowicz Dostojewski urodził się w Moskwie, lubił ją, a po powrocie z Syberii marzył o tym by w tym mieście zamieszkać. Często też odwiedzał Moskwę.

G. Flodorow, badając ślady pobytu pisarza w Moskwie, zainteresował się losami rodziny Kumaninych i stwierdził bezspornie, że wiele szczegółów z życia tych swoich krewnych wykorzystał Dostojewski w swych powieściach takich jak: „Biedni ludzie”, „Sobowiór”, „Młodzik”, „Idiota”.

Kumaninowie, bliscy krewni matki Dostojewskiego, byli fabrykantami i finansistami, którzy odgrywali znaczną rolę w życiu handlowo-przemysłowym ówczesnej Rosji.

Badacz stwierdził m. in., że to powieści pt. „Idiota”, której akcja rozgrywa się w Petersburgu, zapożyczono jest właściwie z obrazu — podmoskiewskiego domu Kumaninych. W tym właśnie domu, zachowanym do dziś, pełno jest rozmaitych zakamarków, mrocznych korytarzy, nieoczekiwanych schodków, małych klitek obok olbrzymich sal. Skandaliczny, jak na owe czasy bunt żony przeciw tyrańskiemu mężowi, co zdarzyło się właśnie u Kumaninych, wykorzystał pisarz w swej powieści.

**CO Z KONMI
Z PLACU SW. MARKA?**

Już przed kilku miesiącami władze włoskie oznajmiły, że konie z brązu na Placu Sw. Marka w Wenecji, zostaną przeniesione do Museo Marciana. Kwadryga pochodząca z czasów starożytnych, która przez wiele stuleci zrosła się z krajobrazem Placu San Marco, stała się ofiarą przemysłowego postępu. Wilgotne słone powietrze przemieszane z chemikaliami dymów nawiewanych z przemysłowych ośrodków w Mestre i Porto Magera, niszczy metal słynnej rzeźby.

Pierwsze uszkodzenia zabytku stwierdzono jeszcze w roku 1962, ale dopiero teraz władze energicznie mają zająć się ratowaniem dzieła. Jest prawdopodobne, że brązowe konie wymagać będą prac restauracyjnych i że w tym celu będą musiały być odtransportowane do Rzymu. Wówczas obawiają się, że skoro konie raz opuściły Wenecję, nie powrócą do niej już nigdy. Zwłaszcza, że kwadryga z placu Sw. Marka jest typowym przykładem tak zwanego „wędrującego” dzieła sztuki. Konie te nie są bynajmniej, jak się na ogół sądzi, pochodzenia greckiego. Pochodzą najprawdopodobniej z czasów rzymskich i zdobyły łuk triumfalny Nerona na rzymskim Kapitolu. Ślad zostały przeniesione na łuk Trajana. W roku 350 n.e. Konstantyn Wielki zabiera konie z brązu do Konstantynopola, gdzie zostają ustawione na hipodromie. Republika Wenecka odzyskuje kwadrygę jako łup wojenny podczas wojen krzyżowych przywożąc brązowe konie do Wenecji w roku 1294. Odtąd, aż do dziś zdobią one Plac Sw. Marka. Niektórzy weneccy boją się więc usunięcia koni z tego miejsca. A nuż nie wrócą one więcej do Wenecji?

**WIELKA WYSTAWA
FERNANDA LEGERA**

W paryskim Grand-Palais otwarta została wielka wystawa poświęcona twórczości Fernanda Légera (1881-1953). Zgromadziła

ona 261 obrazów z lat 1905-1953 28 dzieł graficznych i rysunków oraz 8 rzeźb ceramicznych. Dzieła zostały wypożyczone z 26 muzeów, różnych fundacji całego świata i licznych prywatnych kolekcji zarówno francuskich jak i zagranicznych.

Fernand Léger urodził się w Normandii jako syn handlarza bydłem. Kto wie czy gdyby ojciec Fernanda żył dłużej nie zostałby i on handlarzem bydła, a nie malarzem. Bo Fernand zostaje wczesnie osierocony. Lubił pracę fizyczną, chciał być silny, wyrósł na typowego Normanda, jak by grubociosnego. Mając lat 19 przybywa do Paryża. Przybył z prowincji jest surowy, nie widział nigdy muzeów, nie jest wtajemniczony w arkania paryskiej society artystycznej, ma za to świeżość spojrzenia. A trzeba pamiętać, że były to lata kiedy na ulicach pojawiały się pierwsze dopiero samochody. Ze wzniesienie wieży Eiffila z żelaza wydawało się niemal cudem bowiem, od niedawna dopiero zaczęto stosować konstrukcje żelazne przy wznoszeniu budowli. Ludzi fascynowała wizja nowoczesnych miast, maszyn, techniki. Léger zapoznaje się z modnym wówczas impresjonizmem, ale wierzy on na niego nikły wpływ. Mistrzem jego staje się Cézanne. Uwagę Légera przyciąga jednak nie technika kolorystyczna Cézanne'a lecz głównie konstrukcja obrazu, zamierzona i ściśle przemysłowa. Wkrótce specyfika

jakże oryginalnego malarstwa Légera, staje się jego dążenie do wychwytnia z wielości form otaczającego

tami, współpracował nieraz z Le Corbusierem), zamierzanie do form geometrycznych. Dziś zaliczany



Fernand Léger. Etiuda do „Budowniczych” (1950).

go świata jedynie form podstawowych. Charakteryzuje go pasja prostoty wyjścia dla bardzo zindywidualizowanej oryginalnej twórczości.

jest do kubistów, ale ku bieżym był dla Légera właściwie jedynie punktem wyjścia dla bardzo zindywidualizowanej oryginalnej twórczości.



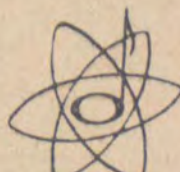
Fernand Léger, „La grande parade” (1954).

Bez strachu

MIZANTROP

Spotkałem mizantropa; przydybałem go raczej, bowiem mizantrop unikał ludzi, ja zaś jestem człowiekiem. Przydybałem go jednak tak niespodzianie i przyparłem do muru, że właśnie pragnąc mnie się pozbyć, musiał ze mną rozmawiać. Stuchalem historię jego mizantropii — już od wczesnego dzieciństwa uważał, że niechętni są mu rodzice i ciocie i babcia. Złe układały się jego kontakty z kolegami — stronił od ludzi, którzy, jak mniemał, chcieli go skrzywdzić. W szkole zamknął się jak ostryga przed nauczycielami. W wieku dojrzałym ograniczał kontakty do konieczności biologicznych i społecznych. Nie miał przyjaciół, a, jak sądził, miał wielu wrogów. A jednak zupełna samotność była dlań niemożliwa — nie potrafił obcować sam ze sobą, jego psychika była jednorodna, niepodzielna. Musiał szukać jakichś kontaktów towarzyskich, jednak, by uwolnić się od ludzi, upodobał sobie koty. Ale koty furczały i drapały go mimo, że codziennie nalewał im pełne miseczki mleka. Wyrzucił zatem koty i zaczął się psami. Psy istotnie były dobrymi kompanami. Nigdy go nie ugryzły. Trącały go mordką w nogę, zachęcając do zabawy. On jednak nie potrafił się już bawić. Przez długi czas obserwowali się nawzajem — mizantrop i psy. I oto mizantrop, podrapany przez koty, dostrzegł z niechęcią, że psy są maksymalnie podobne do ludzi. Poznał psa wójczego, psa bez pionu moralnego, psa, który ocierał się o sprawy kryminalne — zwierzę to nie nosiło numerka i kradło cudze jado. Poznał psa, który zamęczał go histeryczną przyjaźnią. Psa, który robił mu gorzkie wyrzuty, gdy na kilka godzin opuszczał mieszkanie. Mizantrop widział w tym próby ograniczenia osobistej wolności i pozbył się owego psa. Poznał psa flegmatyka, który wytwarzał atmosferę ciężkiej nudy. Psa sangwinika, który obtańcowywał go w podskokach przy każdym spotkaniu, pies ten niszczył mu ubranie i z uporem dążył do lizania go twarzą. Inny pies był nieufny, podejrzawał go o złe zamiary, ostrzegł przed mizantropem ludzi i gotów był ich bronić. W tej absolutnej nieufności zwierzęcia było coś obraźliwego. Mizantrop porzucił psy. Przez pewien czas obdarzał życzliwością świat roślinny, usiłował pokochać kwiaty, ale one szybko więdnęły, pozostawiając u miłośnika uczucie bólu. Poprzez sympatię do kretów, doszedł do miłości gładzi ziemnych. Ale i one rozczarowały go, pod ziemią były niewidzialne, wydobyte szybko ginęły. Teraz upodobał sobie ziemię, zwłaszcza rozkopaną ziemię. Miłośne spoglądanie w wykopany dół jest ostateczną konsekwencją jego postawy.

BERNARD SZTAJNERT



JERZY WIDOK

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

TELEWIZYJNE
„ODGŁOSY”

BADANIA PRASOZNAWCZE — 800 PUBLIKACJI —
CIEKAWY LATA — NASZ MAGAZYN ILUSTROWANY —
NOWA MUZA W „ODGŁOSACH” — EWOLUCJA
PISMA — KTO NAM POSTAWI KAWĘ?

W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Prasoznawczych” ukazał się interesujący szkic Macieja Łukowskiego pt. „Prasa łódzka o telewizji”. Autor szukał telewizyjnej tematyki na łamach łódzkiej prasy w latach 1952-1968, a więc w okresie dość ciekawym. Początek badanego okresu to era „telewizji utajonej”, o której mało kto w Polsce wiedział i mało kto przewidywał jej późniejszą rolę wśród środków masowego przekazu. Koniec badanego okresu — to już lata, kiedy cała Polska w chwilach wydarzeń politycznych, sportowych, kulturalnych tkwiła przed szklanym e-

kranem. A więc istotnie jest to przedział czasu ciekawy, bowiem zawiera on rozwój telewizji od zera do najbardziej masowego środka informacji. A dlaczego Łódź? Po prostu — Łódź była ośrodkiem wojewódzkim, gdzie telewizja pojawiła się najwcześniej. W rezultacie — pisze autor — analiza zawartości objęto łącznie przeszło dwa tysiące pozycji. W poszczególnych pismach ilość pozycji telewizyjnych wyglądała tak: najwięcej w „Odgłosach” — 303 publikacji, w „Dzienniku Łódzkim” — 606, w „Głosie Robotniczym” — 529, w „Expressie Ilustrowanym” — 164 i

wreszcie w „Karuzeli” — 24 publikacje.

Zanim przypomnę — za Maciejem Łukowskim — nasze telewizyjne cykle i publikacje, odnotujmy interesujące wydarzenie z początku lat sześćdziesiątych. Otóż po raz pierwszy i ostatni — telewizja zorganizowała wówczas wielki turniej telewizyjno-prasowy. Było to wyrazem słabej jeszcze pozycji TV na rynku środków masowego przekazu, jeśli uciekała się do pomocy prasy. Z drugiej strony prasa dostrzegła już atrakcyjność telewizji jako partnera.

Ale do rzeczy. Pisze Maciej Łukowski: „Zapoczątkowaną najwcześniej, bo już pod koniec 1959 roku i rozwijającą się najszybciej była rubryka „Odgłosów” pt. „Odgłosy telewizyjne”. Stanowiła ona właściwie mały, jednostronnicowy magazyn ilustrowany, poruszający co tydzień najróżnorodniejsze problemy, związane z telewizją. Znalazły w niej miejsce zarówno oceny krytyczne programu minijonowego tygodnia, jak i zapowiedzi na najbliższe dni, sprawy nowości technicznych, problemy wpływu telewizji na zdrowie ludzkie itp. „Odgło-

sy telewizyjne” zamieściły m. in. cykl o wpływie telewizji na dzieci. Rubryka ta była w całym badanym okresie rubryką najbogatszą i jedyną ilustrowaną”.

Okres pierwszych fascynacji telewizją minął — przeminęła również ilustrowana kolumna telewizyjna w naszym piśmie. „Na łamach „Odgłosów” — pisze Maciej Łukowski — przez dłuższy czas toczy się dyskusja nad rolą i funkcją teatru telewizyjnego, a następnie polemika, spowodowana pojawieniem się na ekranach adaptacji wielkich arcydzieł literatury pięknej. (...) W „Odgłosach” w całym szeregu rozmów z aktorami omawiane są problemy specyficznie teatralne gry przed kamerą, a więc m. in. problem „niemej” widowni, ogromnej roli szczegółów, gry twarzą, samotności aktora, braku możliwości wzbogacenia własnych środków wyrazu, ściśle zakreślonych ram gestu, wielkiej dyscypliny na planie itd...”

Przyjemnie czytać te słowa badacza prasy, bowiem — jak pamiętam — nieraz na różnych piętrach kręcono nosem na nasze telewizyjne publikacje i

cykle publicystyczne. Poza tym widać z tego zestawienia, że „Odgłosy” dość dokładnie, solidnie i wszechstronnie zajmowały się sprawami nowej Muzy.

Na zakończenie uwaga nieco szersza, poczyniona przez Macieja Łukowskiego: „Odgłosy” — regionalny tygodnik kulturalno-społeczny, który przeszedł dość zasadniczą ewolucję od pisma stosunkowo popularnego do tygodnika o charakterze bardziej poważnym, adresowanym do bardziej wyrobionego czytelnika”.

Istotnie taka była droga „Odgłosów” i myślę, że była to droga prawidłowa. Na przykładzie samej tylko tematyki telewizyjnej na łamach naszego pisma potwierdza się prawda o roli i potrzebie poważnego, choć przecież nie ekskluzywnego pisma w wielkim ośrodku miejskim, jakim jest Łódź. Na przeszło dwa tysiące publikacji telewizyjnych w łódzkiej prasie prawie tysiąc ukazało się w „Odgłosach”. Myślę, że telewizja powinna nam przyznać dyplom uznania. Albo postawić kawę.

Zniknięcie bankiera Davenheima

(Dokończenie)

I jeszcze jeden dowód przeciw niemu. Pan Davenheim nosił na palcu lewej ręki złoty pierścień z brylantem. I ten pierścień o mało nie został sprzedany w Londynie przez człowieka nazwiskiem Bill Kellet! Jest on już znany policji, spędził trzy miesiące w więzieniu za kradzież zegarka. Gdy próbował sprzedać pierścień, był pijany, zaatakował policjanta i został aresztowany. Rozmawiałem z nim. Przeraził się, gdy powiedziałem, że można go posądzić o morderstwo. I oto co nam opowiedział. Szedł drogą do Chingside i zatrzymał się nad strumykiem, aby odpocząć. W tym momencie zauważył jakiegoś mężczyznę, który szedł w tym samym kierunku. Był ciemnowłosy, miał długie włosy. Przytrzymał, obejrzał się wokół, a potem wyciągnął z kieszeni pakietek, rzucił poza żywopłot i poszedł dalej. Nasz wtórcza podniósł pakietek i znalazł w nim pierścień. Naturalnie Lowen zaprzecza wszystkiemu, nie można także zaufać słowom Kelleta. A może spokał Davenheima, zabił go i obrabował?

Poirot potrząsnął głową przecząco.

— Nie przypuszczam, mój przyjacielu. A gdzie by później schował ciało? Już byśmy je odnaleźli. No i fakt, że tak oficjalnie sprzedawał pierścień dowodzi, iż nikogo nie zabił.

— A mnie dziwi, że Lowen nie znalazł lepszego miejsca na pozbycie się pierścienia — wtrąciłem.

Poirot wzruszył ramionami. — Miejsce było dobre, bo w pobliżu domu. Wszyscy sądziliby, że Davenheim zgubił pierścień.

— Po co w ogóle zabierać pierścień zmarłemu? — zapytałem.

— Mogło być dlatego — wyjaśnił Japp — że za jezioro znajduje się dół z wapnem.

— Boże mój! — krzyknąłem. — chce pan powiedzieć, iż wapno, które zniszczyło ciało, nie mogło zniszczyć pierścienia?

— Tak właśnie.

— Co za okrutne morderstwo! — przeraziłem się. — Teraz wszystko dla mnie jasne.

Obaj spojrzeliśmy na Poirota. Był pograżony w rozmyślnych. Jakże będą jego pierwsze słowa? My już nie mieliśmy wątpliwości. Odwróciwszy się do inspektora zapytał:

— Mój przyjacielu, czy pan Davenheim i jego żona zajmowały tę samą sypialnię?

Oslupielimy... Wreszcie Japp

wybuchnął śmiechem: — Oczekiwałem sensacyjnego rozwiązania, a teraz nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy pan się nie informował? — nalegał Poirot.

— Mogę to zrobić, jeżeli panu na tym zależy.

— Merci, mon ami. Będę panu zobowiązany za tę wiadomość.

Japp przyglądał mu się w milczeniu, lecz Poirot znów o nas zapomniał i rozmyślał. Policjant potrząsnął głową z politowaniem i szepnął: — Biedaczki! Widać, że wojna źle na niego wpłynęła... — po czym opuścił pokój.

Poirot wydawał się wciąż zagubiony w medytacjach. Wziąłem kartkę i zacząłem na niej bazarować. Obudził mnie głos mego przyjaciela. Był rześki i zadowolony.

— Cóż tam pan robi, Hastings?

— Notuję pewne punkty dotyczące sprawy. Czy pan chce, żebym przeczytał? — zapytałem ledwo ukrywając dumę.

— Ależ tak!

— Pierwsze, wszystko wskazuje na Lowena, jako człowieka, który włamał się do kasy pancernej. Drugie, czuł urazę do Davenheima. Trzecie, skłamał zapewniając, że nigdy nie opuścił gabinetu. Czwarte, zeznania Kelleta potwierdziły jego winę. — Zrobiłem pauzę. — Zgadza się pan?

Poirot spojrział na mnie zdziwiony. — Mój biedny przyjacielu, nie posiada pan zdolności detektywa rozumując tak bezsensownie.

— Ależ dlaczego?

— Wróćmy do pańskich czterech punktów: Pierwsze, Lowen nie mógł przewidzieć, że będzie miał czas na sforsowanie kasy. Nie wiedział, że Davenheim wyjdzie, aby wrzucić list do skrzynki.

— Przejdźmy do drugiego punktu — rzekłem zmartwiony.

— Z tego, co wiem, to raczej pan Davenheim mógł mieć urazę do Lowena, gdyż nie powoził mu się, a Lowenowi szły dobre interesy.

— Istotnie, ale nie może pan zaprzeczyć, że skłamał.

— Nie, lecz mógł się przestraszyć w takich okolicznościach.

— A czwarty punkt?

— Tu muszę ustąpić. Jeżeli historia Kelleta jest prawdziwa, to Lowen uwikłał się w tę sprawę.

— Dobrze, iż próbuje pan chociaż jeden z moich punktów.

— Być może. Lecz zapomniał pan o dwóch ważniejszych

punktach, które dotyczą sedna rzeczy.

— Proszę, jakież to mogą być?

— Przede wszystkim pasja Davenheima do biżuterii, następnie jego podróż jesienią do Argentyny.

— Poirot, pan żartuje!

— Mówię poważnie. I coś jeszcze... mam nadzieję, że Japp nie zapomniał mojego pytania...

Lecz inspektor pamiętał. O godzinie 23 Poirot otrzymał depeszę: „Mąż i żona mają oddzielne sypialnie od ubiegłej zimy”.

— Wspaniale! — krzyknął Poirot — a teraz mamy czerwiec! Zaczęło się na pewno jesienią. Wszystko jest jasne!

Spojrzałem na niego zdumiony.

Poirot zapytał: — Czy pan nie ma bieżącego konta w banku Davenheima i Salmona?

— Nie mam. Dlaczego?

— Ponieważ w takim przypadku radziłbym panu wycofać je, nim będzie za późno. Myślę, że w tych dniach nastąpi poważny krach. Muszę o tym natychmiast zawiadomić Jappa. Poproszę kartkę i ołówek. „Panie inspektorze, radzę panu wycofać pieniądze z poniższego banku...”. Będzie zdziwiony nasz drogi Japp!...

Następnego dnia musiałem schylić czoła przed mózgiem mego przyjaciela! We wszystkich gazetach pisano o krachu banku Davenheima i Salmona.

Nim skończyliśmy śniadanie wpadł do nas Japp machając kartką. Był rozgorączkowany.

— Do diabła, skąd pan o tym wiedział?! — krzyknął.

— Ach, mój drogi inspektorze, po pańskiej depeszy nie miałem już wątpliwości... Włamanie do kasy zrobiło na mnie wrażenie. Klejnoty, gotówka, papiery wartościowe... wszystko tak dobrze przygotowane. A jego pasja do kupowania biżuterii? To bardzo proste. Fundusze, które zabierał, zamieniał w klejnoty, zastępując je później doskonałymi imitacjami. Majątek wywoził pod innym nazwiskiem do Argentyny, gdzie mógłby później z niego korzystać po zatarciu śladów.

Gdy wszystko było gotowe, zamówił wizytę Lowena, włamał się do kasy, zostawił polecenie, aby Lowen oczekiwał go w gabinecie i potem ułotnił się. Dokąd?

To mówiąc Poirot wyciągnął rękę po następne fajki. — Dlaczego każda kura znosi jajka o innych wymiarach? Psuje to symetrię nakrycia stołu.

— Niech pan zostawi w spokoju fajki! — warknął Japp.

— Niech sobie będą nawet kwadratowe! Proszę powiedzieć, jak nasz bankier uciekł... jeżeli pan wie!

— Udał się do swej kryjówki. To sprytny człowiek.

— Czy pan wie, gdzie się ukrywa?

— Naturalnie! Genialna skrytka!

— Na miłość boską, proszę

szybko powiedzieć — denerwował się inspektor.

— No, przyjaciele, jesteście przecie inteligentni! Zadajcie sobie sami pytanie, gdzie byście się ukryli w sytuacji Davenheima?

— Ja nie poszedłbym daleko, ukryłbym się w Londynie, tam jest wielki ruch — rzekłem.

Poirot zwrócił się do Jappa:

— A pan?

— Nie zgadzam się z Hastingsem — rzekł policjant. — Ucieklembym daleko. Wynająłbym jacht i mógłbym wyładować w jakimś nieznanym zakątku.

Utkwiłszy wzrok w panu Poirot.

— A ja, gdybym musiał ukryć się przed policją, wiecie dokąd bym poszedł? Do więzienia!

— Co?! Proszę to wyjaśnić!

— Zaprowadźcie panią Da-

venheim do więzienia na Bow Street i skonfrontujcie z tzw. Kelletem, zaraz go pozna! Mimo ogolonych włosów, brwi i brody oraz wąsów na Huberta! Zona nie pomyli się.

— Co, Bill Kellet? Przecież

policja posiada już jego rysopis!

— Przygotował się do tego.

Gdy miał jechać do Buenos Aires w zeszłym roku stworzył typ Billa Kelleta odsiadując w więzieniu trzy miesiące. Przestudiował każdy ruch. Lecz potem był zmuszony nosić sztuczną brodę i wąsy oraz perukę, aby wrócić do siebie samego. Nie mógł ryzykować i spać w jednym pokoju z żoną.

Ogrodnik, który mówił, że widział pana za domem, miał rację. Davenheim poszedł do kabiny nad jezioro, włożył ubranie à la Kellet (trzymał je

schowane z dala od oczu Karmardynera), a swoje rzeczy wrzucił do jeziora. Sprzedawał pierścienie ostentacyjnie, zaatakował policjanta, aby go zamknąć w celi na Bow Street, gdzie by go nikt nie szukał.

— To niemożliwe... — mruzczał Japp.

— Proszę zapytać panią Davenheim!...

Następnego dnia przyszedł list polecony. Poirot otworzył go i wyjął banknot pięćdziesiętowy.

— Ach, co ja z tym pocznę? Mam wyrzucić, biedny Japp! A może byśmy poszli w trójkę na obiad? To wszystko było takie łatwe do odgadnięcia, nie mogę ukraść mu tych pieniędzy... Hastings, dlaczego pan się tak śmieje?

A. 5.



Lewym okiem

OBWÓD ZAMKNIĘTY

Czyta się nieraz, że z byle informacją, byle piśmem i zestawieniem puszcza się w drogę do jednostki nadrzędnej urzędnik z „terenu”, trzęsie się całą noc w zimnym lub przegrzanym (innych się nie spotyka) wagonie, doręcza i znów się trzęsie. Tak jak by nie było innych środków komunikacji, a zwłaszcza telefonów i dalekopisów...

Są zatem telefony. Mniejsza już o to, że odkąd Warszawa zyskała bezpośrednie powiązania telefoniczne z Łodzią i nie trzeba zamawiać rozmów międzymiastowych, zainteresowanie stołecznych instancji gwałtownie wzrosło i instancje te zasypują swych łódzkich podopiecznych nawalniczą pytań. Ogromna większość potrzebnych instancjom wiadomości leży tam u nich po regałach, zakonserwowana w tysiącach sprawozdań i meldunków. Ale przecież łatwiej podnieść słuchawkę i zażądać, zamiast szukać po zapchanych do niemożliwości regałach — niech szuka ten mniejszy w „terenie”. Gorzej, że pytania instancji są często całkowicie zaskakujące i nikt nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. Nikt też nie odważy się przyznać,

że nie wie, a tym bardziej podać w wątpliwość przydatność i w ogóle sensowność żądanej informacji. To się zdarzyć nie może! Natomiast po otrzymaniu telefonicznego pytania puszcza się w ruch rosnącą lawinę dalszych telefonicznych pytań do jeszcze niższych jednostek, do dalszego „terenu”, rozrzuconego po wszystkich kątach kraju.

Dwoje lub czworo urzędników wydziału, przez dwa-trzy dni robocze wrzeszczą do dwóch stojących obok siebie słuchawek, zagłaszając się wzajemnie. Zagłaszają też cały wydział, który kręci w palcach długopisy i kipi ze zdenerwowania, nie mogąc do trzech zliczyć w takim harmidrze. Tamci na drugim końcu drutu nie słyszą, nie rozumieją o co chodzi, ktoś jest właśnie nieobecny, kogoś przez kwadrans nie mogą przywołać. Wreszcie przekazuje się pytanie i żąda po paru godzinach odpowiedzi. Potem odpowiedzi nie ma więc się znów dzwoni i znów ktoś inny nie wie o co chodzi, i znów kogoś się przywołuje. Potem nadają odpowiedź, która nie ma żadnego sensu albo ma go za dużo, albo jest oczywiście fałszywa, albo jest nietaktycznie szczerą. I znów...

Dalekopis jest tym gorszy od telefonu, że w każdej instytucji i przedsiębiorstwie znajduje się najwyżej jeden. Nie można dalekopisem dotrzeć na potrzebne biurko i wprost do właściwego ucha. Przekazanie wiadomości dalekopisem trwa sekundy, ale później od panią, która go przyjeżdża do wiadomości właściwego urzędnika, droga trudna i najeżona przeciwnościami. Poza tym zaś nie spotkałem jeszcze jak żyje telexu bez błędów. Nie wiem, dlaczego tak jest. Można by z tekstów dalekopisowych

bez trudu zestawić absurdalną, abstrakcyjną epopeję. „Tak mam jak dala. Wrrr mztzptntr osiem i pół powtarzam no tak trhmly osszem tipoll podpisall zastepca przewodniczego krol tak krol. „Świetna, pisząca bezbłędnie stenotypistka, posadzona przy dalekopisie, sadyi byka na byku i nie wiem, czym się to tłumaczy. Rezultat jest w każdym razie taki, że co drugi telex trzeba dodatkowo wyjaśniać, zgadywać, rozplątywać — a i tak zostaje z tego mnóstwo fałszywych informacji i nieporozumień.

Czy to, co tu piszę, jest prostym malkontentem? Może, ale jednocześnie to jest prawda, choćby i nieprzyjemna. Jest więc faktem niezaprzeczalnym, że konieczne należy zrezygnować z krążenia informacji w tezkach niedospianych urzędników na rzecz nowocześniejszych środków łączności, jak telefon i dalekopis. Jest faktem jeszcze bardziej niezaprzeczalnym, że należy koniecznie i radykalnie podnieść od strony technicznej jakość usług telefonicznych i dalekopisowych. Ale najbardziej pilną i oczywistą wydaje mi się potrzeba zrezygnowania z zasady, że o kichnięciu referenta w Peimiu musi nazajutrz wiedzieć cała ogromna hierarchia administracyjna łącznie z kilkoma resortami. Ze cały kraj, cały „teren” istnieje tylko po to, żeby informować centralę, która jedynie wie co robić, oraz żeby informować multum instytucji, które z tych informacji robią nowe informacje, z tych nowych jeszcze nowsze i potem je przetwarzają, zestawiają, kombinują i publikują na rzekomy użytek... terenu.

I tak zamyka się krążenie wody w przyrodzie.

ĆWIEK